Nr. 9. Lwów — Czwartek dnia 12 Stycznia. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują: [illegible]

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

Cena prenum. na prowincyi: [illegible]
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.

CENA OGŁOSZEŃ [illegible]

Dziś: św. Honoraty P. | Mełanyi M.
Jutro: św. Hilarego | 1 Henwara 1893

Adres Redakcyi i Administracyi: **Ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 7 m. 54
Zachód „ „ 4 „ 23

Długość dnia g. 8 m. 29
Przybyło dnia od wczoraj 1 m.

Celem uniknienia ewentualnych nieporozumień, przypominamy Sz. PP. Prenumeratorom, że za każdą zmianę adresu należy zapłacić 20 centów.

Administracya Przeglądu.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 stycznia.

Wczoraj o godzinie 2ej po południu spisano w zamku Sigmaringeńskim cywilny akt zaślubin rumuńskiego następcy tronu księcia Ferdynanda z wnuczką królowej angielskiej a siostrzenicą cara, księżniczką Maryą Edynburską, zaś o godzinie 4ej, w zamkowej kaplicy, odbył się ślub podług obrządku katolickiego. Stało się więc to, przeciw czemu tak długo zabiegała petersburska dyplomacya, nadzwyczaj niechętna utrwaleniu się dynastyi w Rumunii, jako w państwie, na które panslawiści spoglądają chciwem okiem. Leży ono na drodze do południowej słowiańszczyzny, na drodze do Konstantynopola, o którego posiadanie ubija się Rosya od dwóch wieków. Włączenie tego państwa do carskich dziedzin zdawna należy do katechizmu rosyjskiego i był czas, kiedy opierając się o silne bojarskie stronnictwo, a wywołując ciągle rewolucye i obalając gospodarów, bliską była Rosya swego celu, w Bukareszcie i Jassach rządziła się jak u siebie. Wtedy to właśnie Europa użyła metody, którą w wiele lat potem bez zmiany zastosowała do Bułgaryi: sejmowi rumuńskiemu podsunęła myśl obwołania księciem porucznika pruskiego z katolickiej linii Hohenzollernów, jak kilka lat temu doradziła Bułgarom powołać porucznika austryackiego, również katolika. Podobieństwo wypadków idzie jeszcze dalej. Księciu Karolowi wszyscy oficyalnie odradzali jechać do Rumunii, Bismark rzekł mu: „Ostatecznie, cóż szkodzi! Jedź, książę; będziesz miał miłe wspomnienie.“ Zupełnie tak samo było z bułgarskim Ferdynandem, na którego patrzano wzruszając ramionami i mówiono: „Jedzie po krótkie wrażenia. Oby ich nie przypłacił życiem!“ Na tratwie naładowanej towarami, przebrany za kupca, aby go w drodze nie porwali agenci panslawistyczni, udał się książę Karol Dunajem do swego państwa. Tak samo wybraniec bułgarski udał się małym parowcem, jako człowiek całkiem prywatny, i przybił do bułgarskiego brzegu, starannie omijając wszystkie okręta, bo się bał zasadzki. Zaczął się potem szereg niedoszłych zamachów, spisków i buntów — zupełnie, jak od lat czterech w Bułgaryi. Ale oto już 26 lat panuje Karol, z księcia stał się królem, otrząsnął się z wassalstwa względem Turcyi i doznał spokoju ze strony panslawizmu zaborczego dopiero wtedy, gdy go jako ojca dotknął cios bolesny, gdy stracił jedynaczkę. Po tym wypadku Rosya postanowiła czekać jego zgonu, a mogła to zrobić, bo już Rumunia nie miała wątku, z któregoby się wysnuła dynastya. Intrygi, spiski i bunty, kierowane przez Chitrowa, zaczęły się znowu, gdy król Karol począł przeprowadzać myśl powołania bratanka na następcę tronu, a kiedy i ta podziemna wojna nie pomogła, kiedy senat rumuński uznał Ferdynanda Hohenzollerna następcą tronu, wówczas panslawiści osnuli zręczną intrygę z panną Heleną Vacarescu. Jeśliby się z nią ożenił następca tronu, to stworzyłby przyczynę niezliczonych wewnętrznych zatargów i rokoszów, bo dumne bojarskie rody zadzierałyby głowę przed królową z miernego domu Vacaresców i dom ten, niepopularny a rozgałęziony, zanadtoby się pysznił, rozpierał, drażniąc mimowoli Ghików i Cusów, potomków gospodarskich. Ten stan rzeczy doprowadziłby nieuchronnie do wyrzucenia z kraju królewskiej rodziny, do wojny domowej. Rosya mogłaby posłać do Rumunii swe wojska dla zrobienia tam porządku, a stamtąd jużby może udało się nie wyjść. Gdyby zaś królewicz nie ożenił się z panną Vacarescu, toby w każdym razie był nieco skompromitowany i nie mógłby poślubić panny z wybitnej w Europie dynastyi. Taki był plan panslawistycznej dyplomacyi na romans z córką Vacaresców. Ale stateczne szczęście i tym razem sprzyjało królowi Karolowi, oraz niepodległej Rumunii. Wdał się w tę sprawę amor. U którychś wód niemieckich spotkał się królewicz z księżniczką, potem przypadkowo znalazł się obok niej na monachijskiej wystawie malarskiej i prędzej, niż się spostrzeżono, bardzo przystojny młodzieniec zdobył życzliwość panny, a że to podobno nader energiczna osóbka, więc ani gniew rosyjskiego wujaszka, ani zabiegi dyplomatyczne nic nie pomogły, zwłaszcza, że sędziwa babka angielska dała swe pozwolenie. I oto los spłatał Rosyi takiego figla, że okrzyczany za romans z panną Vacarescu królewicz pojął siostrzenicę carską. Polityka dodała drugiego figla: kompromitacya Francyi, jej zupełny rozstrój, jej niezdolność do zewnętrznej akcyi, zmusiła Rosyę chwytać wszystkie sposoby zbliżenia się do środkowej Europy, więc na ślub królewicza rumuńskiego z księżniczką Maryą delegował car swego brata Sergiusza, jako niby na dowód, że dynastya Romanowów godzi się z tym związkiem, a na dowód, że się godzi także i Rosya, posłał ambasadora berlińskiego Szuwałowa.

Ten ślub, zawarty wczoraj w Sigmaringen, tworzy tedy jakby zamknięcie peryodu rosyjskich minowań pod Rumunią. Ma już ona swoją dynastyę, spokrewnioną z monarszemi domami Niemiec i Anglii, ma więc rozległe stosunki rodzinne, które wywierają zawsze ogromny wpływ na polityczne wypadki, jeśli nimi kierują nie wzburzone narody, ale dynastye, dwory i dyplomacye od nich zależne.

Książę Ferdynand bułgarski, którego panowanie jest zupełną kopią panowania pierwszego króla Rumunii, patrząc na ten swój pierwowzór, może być pełen otuchy, że i on tak samo utrwali swą dynastyę, tak samo zrobi Bułgaryę państwem niepodległem, obwarowanem od strony rosyjskiej, jak to zrobił król Karol z Rumunią. A dla Rosyi ów ślub wczorajszy jest jakby dodatkiem do berlińskiego traktatu. Jedne po drugich zamykają się przed nią bramy na półwysep bałkański. Po dwuwiekowych usiłowaniach widzi ona wprawdzie Turcyę rozbitą, ale od Konstantynopola jest dalej niż kiedykolwiek przedtem, coraz dalej, i z dobrą miną w złej grze musi asystować przy wypadkach, które niweczą jej dwuwiekowe wysiłki. To istna Nemezis!

Kopia panamskiego skandalu zaczyna się tworzyć w Hiszpanii. Nowy gabinet liberalny doznaje coraz więcej trudności, bo ludność się burzy w skutek braku zarobku, a republikańskie stronnictwa zawarły koalicyę i postanowiły rozpocząć nowy okres zamieszek. W takiej sytuacyi, gabinet Sagasty, aby zdobyć popularność, oskarżył poprzedni rząd Canovasa o wielkie nadużycia przy budowie kanałów dokoła rzeki Ebro. Wedle oskarżenia, zniknęło gdzieś 10 milionów franków z funduszu budowy, a stało się to przeszłego lata, za kierownictwa robotami publicznemi gabinetu konserwatywnego. Przedewszystkiem oskarżony jest minister Rivas, a obok niego liczni urzędnicy i przedsiębiorcy. Sprawa ta będzie oddana w ręce prokuratoryi, tymczasem zaś, zamiast wzmocnić pozycyę gabinetu, rozprzęgła wszystkie stosunki hiszpańskie. W kraju tym panuje wzburzenie, z którego korzystają żywioły negacyi, rewolucya podnosi głowę, republikanizm szerzy się, władza wypada z rąk gabinetu — wszędzie zatargi ludności z policyą.

Korzysta z tego Anglia. Ona wraz z Francyą i Hiszpanią zdawna dobija się o wyjątkowe stanowisko w sułtaństwie marokkańskiem, ale ponieważ zawsze rywalizowały ze sobą te państwa i wzajemnie się neutralizowały, przeto sułtan marokkański, grając zręcznie na trzech klawiszach, zachowywał swą samodzielność. Teraz jednak zmieniła się sytuacya. Francyę pochłania skandal panamski, czyniący ten kraj zupełnie bezwładnym, a Hiszpania samochcąc wpadła w takie samo błoto, z którego wyrastają rozkładowe dążności. Tę właśnie chwilę wybrała Anglia do zaatakowania Marokka i stworzenia czynu dokonanego. Za pretekst wzięła zabójstwo, popełnione przez marokkańską straż celną na jakimś przemytniku hiszpańskim, mieszkańcu Gibraltaru, a więc poddanym angielskim. Ultimatum angielskie brzmi groźnie: albo sułtan w ciągu 24 godzin da zadosyćuczynienie, albo Anglia po swojemu postąpi! Rzecz jasna, że w dobę nic zrobić nie można tam, gdzie nie ma kolei i telegrafów, więc Anglii widocznie idzie o zajęcie wojskami swemi stolicy sułtanatu. Telegram doniósł, że ambasador francuski w Londynie, p. Waddington, zaprotestował z polecenia swego rządu przeciw takiej postawie angielskiej. Na tem sprawa stanęła.

Figaro z powątpiewaniem donosi, że rosyjski następca tronu ma poślubić orleańską księżniczkę Małgorzatę, katoliczkę. Rzeczywiście, jest to wiadomość bardzo wątpliwa. Wprawdzie Francya może oddałaby wszystkie swe panny za Rosyan i Orleanie już pokazali nie raz, że dla polityki nie robią religijnych skrupułów, lecz czy prawosławna Rosya zechce przyjąć na carową osobę wychowaną w katolicyzmie? To wprost nieprawdopodobne.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 8 stycznia.

(W.) Konferencye [illegible] przywódzcami wielkich stronnictw parlamentarnych odbywają się pilnie i bez przerwy, a choć pokryte są tajemnicą, tyle z nich do wiadomości publicznej dochodzi, że przebieg ich wróży pozytywny rezultat, t. j. utworzenie stałej większości na podstawie stałego programu i stałej organizacyi.

Artykuły pism liberalnych, godzące wciąż jeszcze w klub Hohenwarta i żądające rozbicia tego stronnictwa, robią już więcej wrażenia dziennikarskiej pressyi aniżeli istotnych warunków. Przoduje w tem namiętnością *Deutsche Ztg.*, a krętactwem *Neue Freie Presse*. Ta ostatnia wspomniała niedawno, że najłatwiejszem stanowiskiem w obec nowego programu i odnośnych układów będzie stanowisko Koła polskiego, bo Polacy są rzekomo „nasyconem“ stronnictwem — „eine saturirte Partei.“ Nie pora, ani też miejsce tu zastanawiać się nad tem, a raczej tłómaczyć liberalnemu dziennikowi, czy i o ile Polacy za „nasycone“ stronnictwo uważać się mogą. Ale to pewna, że najniezręczniej *Neue Freie Presse* przyczepiła tę złośliwość do artykułu, w którym starym zwyczajem znów pulweryzowała wedle swej utartej recepty klub Hohenwarta. Chociażby bowiem nawet Polacy byli takiem „nasyconem“ stronnictwem, jak się to temu dziennikowi zdaje, pozbawienie ich dotychczasowych stronników a oddanie pod hegemonię lewicy prędkoby owemu „nasyceniu“ położyło koniec. Że tak jest a nie inaczej, o tem świadczy niedawna przeszłość, n. p. rola lewicy w sprawie indemnizacyi galicyjskiej. Kto sobie mowy wygłaszane wówczas przez członków lewicy odczytać zechce, ten łatwo się przekona, że ówczesna opozycya lewicy nie przeciw rządowi, ale wprost przeciw Polakom i Galicyi skierowaną była, zaczem pokutowała długo w pismach liberalnych wciąż powtarzana zwrotka o stumilionowym podarku, aż ze względów taktycznych broń tę do arsenału schować przyszło. Tą krótką wzmianką o „nasyconem“ stronnictwie, obudziła tedy *Neue Freie Presse* niechcący może wiele niełatwo zapomnieć się dających pamiątek i przypomniała Polakom żywo, że brak równorzędności w przyszłej stałej większości byłby już nie zachwianiem owego stosunku, który się autorowi pomienionego artykułu „nasyceniem“ zwać podoba, ale po prostu polityczną głodową śmiercią. Ale o to obawy nie ma, póki w układach bierze udział prezes Jaworski.

Z Bukowiny.

W grudniu 1892.

Klasyfikacya warstw społecznych polskiej ludności na Bukowinie. — Rzemieślnicy. — Urzędnicze sfery. — Ormianie polscy, posiadacze dóbr ziemskich. — Polityka polska na Bukowinie w ostatnich latach. — Jej błędy. — *Gazeta Polska*. — Jej kierunek. — Indeferentyzm religijny. — Program działania na przyszłość.

(Fg.) Mniej więcej od trzech lat słyszy się coraz częściej i głośniej o „polskości na Bukowinie“... Kwestya ta robi się coraz ważniejszą, z każdym dniem więcej o niej piszą nasze dzienniki, wreszcie sami Polacy bukowińscy za pomocą swego organu (*Gazeta polska* w Czerniowcach) co raz donośniej nawołują do niesienia im pomocy.

Sprawa ta zajmowała mnie do tego stopnia, że umyślnie wybrałem się na dłuższy czas na Bukowinę, ażeby zbadać ją na miejscu i zapoznać z nią szerokie koła czytelników *Przeglądu*.

Otóż dla wyrobienia sobie od razu jasnego pojęcia o owym „polskim żywiole“ — przystąpmy do kategorycznego wyszczególnienia ogniw, z jakich się on składa.

Najliczniejszymi reprezentantami naszej narodowości są niezaprzeczenie rzemieślnicy w Czerniowcach; liczba ich przechodzi dziesięć tysięcy głów. Na roboczej tej i przemysłowej ludności, odbił się jaskrawo fakt, zdarzający się we wszystkich naszych emigracyach roboczej ludności: rzemieślnicy ci dopiero po za granicami dawnej Rzeczypospolitej poczuli się w pełni Polakami i nabrali jasnego i wyraźnego zrozumienia swej narodowości. Dziwny ten fenomen ma miejsce wszędzie, gdzie tylko zbierze się większa ilość naszego ludu z dala od Ojczyzny. Amerykańskie gminy i parafie są tego jaskrawemi ilustracyami. Opowiadał mi również pewien rodak, inżynier zajęty przy fabrykach nad Renem, że robotnicy polscy z Poznańskiego, przychodzący tam w stanie na w pół dzikim, w krótkim bardzo czasie uczą się czytać i pisać po polsku, cywilizują się nadzwyczaj prędko i stają się dopiero tam żarliwymi patryotami, marzącymi o Ojczyźnie i o powrocie do rodzinnej niwy. Te same symptomata dają się dostrzegać na polskiej ludności rzemieślniczej w Czerniowcach, z tą tylko różnicą, że tak w Ameryce, jak i w Niemczech, patryotyzm polski idzie równorzędnie z żarliwością ku religii katolickiej i ku praktykom kościelnym, a w ten sposób znachodzi potężnego i dziwnie wiernego sojusznika i sprzymierzeńca: — w Czerniowcach dzieje się przeciwnie. Jakie są tego przyczyny? Powiem w stosownem miejscu.

Drugą klasę ludności polskiej stanowią tu urzędnicy i tak zwana inteligencya polskiego pochodzenia. Klasa to najmniej liczna, najmniej świadoma swego celu i najmniej — mówmy szczerze — polska. Są to ludzie — z małymi zaszczytnie znanymi wyjątkami — pochodzenia cudacko mięszanego, dążący do zrobienia jak można najszybciej karyery, nie bardzo oglądający się na środki, pogrążeni w strasznym indyferentyzmie religijnym, i czyniący częstokroć tylko ujmę naszemu narodowi. Ludzie ci, u których zbyt często cała polskość polega na niezdarnej umiejętności mówienia licho po polsku, po to tylko manifestują się od czasu do czasu ze swą polskością, ażeby mieć sposobność wchodzić w bliższe stosunki z możną i oświeconą warstwą Ormian-Polaków, posiadających znaczne posiadłości ziemskie na Bukowinie.

Właśnie ci Polacy ormiańskiego pochodzenia są tą trzecią najpotężniejszą i najbardziej wpływową warstwą polskiej ludności w tym pięknym i bogatym kraju. Jest to dowodem olbrzymiej żywotności naszego narodu, że potrafił zasymilować i szczerze spolszczyć obcych przybyszów, żyjących po za granicami dawnej Polski. Ludzie ci kochają Ojczyznę i ideę polską częstokroć daleko goręcej niż najrodowitsi Polacy. Patryotyzm ich nie rzadko trochę dziecinny i lgnący do jaskrawych, dekoracyjnych oznak polskości, jest tak gorący i do ofiar skłonny, jak bywał nasz w chwilach najgorętszych porywów narodowych, w smutnej i krwi pełnej dobie ostatniego powstania.

I nie bez podstawy sądzę, że gdyby dziś, — co nie daj Boże — przyszło do zbrojnego ruchu przeciw któremukolwiek z mocarstw rozbiorowych, to prym pomiędzy ofiarami prądu rewolucyjnego wiedliby właśnie Ormianie polscy z Bukowiny. Dziwne to i trudne do pojęcia dla dzisiejszego psychologa plemię. Za to, że przed wiekami, rozbitkowie armeńscy, znaleźli przytułek i opiekę w gościnnej Rzeczypospolitej — potomkowie tych rozbitków ukochali serdecznie szczątki tej Rzeczypospolitej i dla Opiekunki, umęczonej, mają ci pasierbowie więcej miłości i większą częstokroć gotowość do ofiar, niż najmilsi, najbardziej pieszczeni jej rodzeni synowie.

Ze zdumieniem przybysz z Galicyi usłyszy tam w pierwszym lepszym dworze nad Prutem lub Czeremoszem panienki, śpiewające drżącym od wzruszenia głosem pieśni takie, jak: „Boże coś Polskę“ lub „Jeszcze Polska nie zginęła“, które wypiętnowały się łzawemi głoskami za dni naszego dzieciństwa.

Skąd to się wzięło? Gdzie tego przyczyna?

Wszak ludzie ci po większej części nie dostąpili byli nawet za czasów Rzeczypospolitej zaszczytu szlachectwa: zazdrosna o swe przywileje szlachta poskąpiła im była zbyt często klejnotu: — „rycerzami“ zostali dopiero po zajęciu kraju przez Austryaków. Przyczyna — mojem zdaniem — we wielkiej wzniosłości polskiej idei i.. w delikatnej szlachetności uczuć tych potomków przybyszy z dalekiego Wschodu.

Zapewne, że nas, ludzi wytrzeźwionych i

Z krainy kwiecia i słońca.

Prelekcye prof. Dunikowskiego mają już we Lwowie ustaloną reputacyę. Prawdziwy czar, jaki umie w opowiadaniu swem rozwinąć ten sympatyczny podróżnik, czasami humorystyczne zabarwienie, podnoszące tło obrazu, a obok tego serdeczna nuta głębokiego patryotyzmu, który umie tak umiejętnie wplątać w opowiadanie — oto prosty a skuteczny arsenał, za pomocą którego odrazu zdobył sobie szan. profesor lwowską publiczność.

We wczorajszym odczycie zaprowadził nas prof. Dunikowski do krainy „słońca i kwiecia“, jak nazywają Yankesi południowe stany amerykańskie: Georgię, Florydę i Carolinę, ojczyznę bawełny, trzciny cukrowej i południowych owoców. Niefortunna pora przypadła naszemu podróżnikowi na zwiedzanie tej czarownej krainy, bo pora letnia, której towarzyszy nieodwołalnie żółta febra, szalone upały i wszelkiego gatunku owady, mogące zniechęcić najodważniejszego człowieka. Ale Galicyanin, odporniejszy z natury panujących w jego kraju stosunków na wszelką nędzę, nie zraził się tak łatwo i nie uląkł się przeszkód, uniemożliwiających pobyt w krainie słońca, zieleni i kwiatów.

W podróż puścił się nasz podróżnik z Nowego Jorku. Okrętem można było przebyć, przestrzeń, dzielącą amerykańską metropolię od Florydy, w ciągu trzech dni, ale ponieważ taka podróż nastręcza daleko mniej wrażeń, więc nasz podróżnik wybrał kolej żelazną, tem więcej, że jej szybkość jest po prostu zdumiewającą, gdyż wynosi 80 mil angielskich na jedną godzinę. Trzy godziny drogi i oto już Filadelfia, stolica Pensylwanii. Miasto typowoamerykańskie, a więc co zatem idzie: nudne, monotonne i męczące swoją regularnością i brakiem ożywienia. Liczy milion ludności, ale mogłoby z łatwością zmieścić na swoim obszarze cztery razy tyle. Budynki wszystkie podług jednego szablonu, nigdzie nie widać odmiany, przeważnie małe domki, otoczone ogródkami. Filadelfijczyk nie zna wynajmowanych mieszkań, lubi mieć dla siebie osobny dom, w którym jest wyłącznym panem. Zabudowują się w ten sposób przeważnie robotnicy, którzy stanowią główny zastęp ludności. Uskłada sobie naprzykład taki zarobnik trochę kapitału, więc zaraz rozgląda się za budowlanym placem. Jeżeli nie może go znaleść za odpowiednią cenę w śródmieściu, wtedy z amerykańską flegmą kupuje grunt pięć mil od miasta i tam stawia dom. Obok niego powstanie wkrótce dom drugi, trzeci, cała ulica wreszcie, która następnie łączy się z resztą miasta. Oddalenie nie robi żadnej różnicy, gdyż bajecznie tania kolej elektryczna przecina Filadelfię we wszystkich kierunkach. To jest właśnie powodem ogromnej rozległości. Pomieszkania są, ogółem biorąc, zdrowe i wygodne. Polaków jest tu około 20.000, przeważnie proletaryat roboczy, choć są i bogacze jak np. fabrykant farb Andrzejkowicz, który jest milionerem.

Osobliwość Filadelfii stanowią Kwakrzy, sekta ewangielicka, licząca wyznawców swoich na setki tysięcy. Są to prawdziwe „groby pobielane“, gdyż udają świętoszków, gdy w rzeczywistości prawdziwa religijność jest im zupełnie obcą. Ustawodawstwo miejskie, na którem znać bardzo piętno Kwakrów, doprowadziło do śmieszności. W niedzielę n. p. nie wolno jadać w restauracyach i odwiedzać publicznych lokali. Na szczęście kto jest wtajemniczony w istotę rzeczy, ten sobie łatwo poradzi. Oto po prostu zamiast frontowemi drzwiami, które są zamknięte, wchodzi tylnemi i zjada sobie spokojnie ile mu się podoba. Na pozór panuje tu ogromna wstrzemięźliwość. „Saloony“ świecą pustkami, a za to obywatele upijają się... w aptekach, wszelako z zachowaniem wszelkich pozorów wstrzemięźliwości. Wchodzi się do apteki i żąda wody sodowej; żądaniu temu jednak towarzyszy stosowny gest, czy nawet tylko mrugnięcie oka, które rozumie doskonale aptekarz i podaje gościowi stosownie do życzenia wyrażonego tym tajemniczym gestem: rum, arak, wódkę, albo inne alkoholiczne przysmaki.

Rzucamy więc filadelfijskich hipokrytów, wsiadamy na kolej i uciekamy do Baltimore, które jest jednym etapem dalej na drodze, prowadzącej do krainy „słońca i kwiecia“. Naokoło Baltimore uderzają nas ogromne, amerykańskie, dziewicze lasy, ciekawe z tego powodu, że są jednostajne, podczas gdy inne lasy w Ameryce stanowią mięszaninę wszystkich gatunków drzew. Baltimore jest miastem posągów. Jest ich dużo i kosztowne, ale bez wartości artystycznej, za to przyjemną niespodzianką są domy i ulice, przypominające smak europejski, oraz przepyszny park. Miasto położone nad zatoką, jest ważnym punktem handlowym. Polonia tutejsza w liczbie 20.000 pracuje na ogromnych plantacyach truskawek i pomidorów, albo pakuje ostrygi do puszek, co daje ładne dochody. Obok istniejących już dwóch kościołów polskich, ma wkrótce stanąć trzeci, dzięki ofiarności naszych zamerykanizowanych Maćków.

O pół godziny drogi leży Waszyngton, jedno z najpiękniejszych miast nowego świata, a na szczęście przez nie musimy przejeżdżać, chcąc zdążyć do naszego celu. Cały Waszyngton jest jakby ogrodem: mnóstwo tu eleganckich parków, alei i sadów, a napotykane już nierzadko cedry, jukki, magnolie i wiktorye regie wskazują, że to już południe. Ozdobą Waszyngtonu jest kapitol, w którym zbiera się kongres Zjednoczonych Stanów. Gmach postawiony w stylu renesans ma wspaniałą dorycką kolumnadę, co jest rzadkością w Ameryce, gdzie zajęci *businesem* yankesi nie zważają na architekturę. Inną osobliwością jest posąg Waszyngtona, ogromna, 555 stóp wysoka piramida z białego marmuru, którą Amerykanie nazwali dowcipnie „kominem narodowym“. Nim wzniesiono wieżę Eiffel, ten „komin“ był najwyższem na świecie dziełem rąk ludzkich. Ulice Waszyngtonu są wyjątkowo czyste, wyłożone asfaltem.

Opuszczamy Waszyngton i pędzimy dalej na południe przez Wirginię. Tu klimat przepyszny, niebo zawsze pogodne, lazurowe, dojrzewają cytryny i pomarańcze, jakkolwiek klimat nie jest jeszcze podzwrotnikowy. Spostrzegamy za to jeszcze inną cechę południa. Jadąc koleją, spotyka się coraz więcej murzynów i podczas gdy w północnych stanach każdego murzyna — bez względu na jego stanowisko socyalne — pakują do osobnych wagonów, tu jadą wszyscy razem, a często nawet murzyn jest konduktorem. Nic dziwnego, bo tu liczebna przewaga czarnych.

Carolina, przez którą jedziemy dalej, przypomina nam ulubioną z lat dziecięcych lekturę o chacie wuja Tomasza, którego losy tutaj się rozstrzygały. Na ogromnych polach, jakie się rozsiadły w tej prowincyi, zobaczymy prześliczne zjawisko: całe łany pokryte śnieżnym całunem. To plantacye bawełny. Bladozielona roślinka, mająca metr wysokości, opatrzona jest u góry białą kitą, która właśnie całemu łanowi nadaje łudzący charakter śnieżnej warstwy. Przy zbiorach, odbywających się w czerwcu, zarobek jest ładny, ale trudno o robotnika, bo klimat niezdrowy, więc przybysze nie garną się tu, a murzyni po zniesieniu niewolnictwa niebardzo się kwapią do pracy; obmierzła im ona, zbrzydła i przypomina niedawne jeszcze jarzmo. Polacy nie osiedlają się tu prawie wcale, za to masowo zaludniają stan Teksas i tam uprawiają jeden z najlepszych gatunków bawełny, znanej na targach pod nazwą „bawełny polskiej“, poszukiwanej i droższej znacznie od innych.

Przy sposobności dowiedział się nasz podróżnik od jednego z fermerów tamtejszych całej prawdy o niewolnictwie, które do niedawna w Ameryce istniało. Ktoby chciał w tym względzie spuścić się na to, co o niewolnikach pisały czułe damy europejskie — jak pani Beecher-Stoove — które Ameryki nigdy nie widziały, ten omyliłby się bardzo, gdyż w rzeczywistości los murzynów nie był wcale opłakany. Natomiast prawdziwem bezprawiem nazwać można skasowanie niewolnictwa, gdyż przeprowadzono je bez najmniejszego wynagrodzenia plantatorów, którzy raptem stracili niewolników i zeszli na nędzarzy.

Obecnie murzyn, który jak wspomnieliśmy jest w południowych stanach panem jako liczebnie mocniejszy, korzysta z wszelkich swobód obywatelskich i posiada prawo wybierania i wybieralności. Zwykle zjawia się tu jakiś awanturnik z północnych stanów, który uciekł przed kryminałem albo z kryminału, robi się popularnym wśród murzynów, ci wybierają go na gubernatora, a on za to powołuje z ich grona ministrów i dygnitarzy, zwykle tych, którzy go najbardziej popierali. Cała legistatura Caroliny składa się z 300 murzynów, z których ani jeden nie umie czytać lub pisać, to też w stosunkowo niedługim czasie pod takiemi rządami stany murzyńskie dochodzą do 20, 30 milionów długów. Wtedy robi się rewolucyę, zrzuca się gubernatora i jego przyjaciół ze steru i wiesza na rozmaitych gałęziach rozmaitych pięknych drzew południowych.

Rasa murzyńska jest bez porównania niższą od naszej i absolutnie nie da się do niczego wyższego użyć, wbrew platonicznym teoryom niektórych uczonych o równości plemion ludzkich. Przekonał się o tem Amerykanin Howard, który chciał koniecznie ucywilizować murzynów, chociażby kosztem największych ofiar pieniężnych, gdyż nawet założył dla nich osobny uniwersytet w Waszyngtonie. Murzyn przypomina pod wielu względami małpę. Ciekawość, ciągły niepokój i wesołe usposobienie, wreszcie grymasy twarzy i chęć naśladowania drugich, zdradzają w nim dużo małpiej natury. Cywilizowany murzyn ubiera się zawsze pstrokato, i jeżeli surdut ma na sobie zielony, to kamizelka i pantalony będą z pewnością błękitne lub żółte, a kapelusz czerwony. Lubi ogromnie, gdy mu się powie, że jest „białym dżentelmenem“, natomiast za obelgę poczytuje sobie nazwę „czarnego murzyna“. Mimo to wszystko bywają murzyni nawet senatorami, ale to nie

zimnych polityków, obrachowujących dziś każdy czyn i każde słowo, nie jedno urazi w tym gorącym i demonstracyjnym patryotyzmie. Pamiętać jednak winniśmy, że uczucia wszelkich neofitów są gorętsze od uczuć ludzi z dawna utrwalonych w jakiejkolwiek wierze i cieszyć się należy, że nasza ojczysta idea jest o tyle potężna, iż zdobywa sobie pod koniec dziewiętnastego stulecia neofitów, nie mogąc im w zamian dać żadnych pozytywnych korzyści.

Co do stosunku z naszej strony, zgodnie, to, że patryotyzm polski gnieździ się i bujnie wzrasta w kościele i wśród duchowieństwa ormiańsko-katolickiego. Kościół ormiańsko-katolicki w Czerniowcach jest miejscem, gdzie odbywają się wszystkie polskie patryotyczne nabożeństwa, gdzie uroczyście obchodzą się wszystkie rocznice nieszczęść narodowych, gdzie czczą wspomnienia chwały polskiego oręża lub polskiej, państwowej szlachetności.

Nastrój ten ormiańskiego kleru robi na Polaku tem sympatyczniejsze wrażenie, gdy porówna się go z duchowieństwem łacińskiem świeckiem. Smutno jest żarliwemu katolikowi dotykać tak bolesnych spraw; ale ze względu na przyszłość rozwoju katolicyzmu na Bukowinie i potrzeb licznej naszej rzemieślniczej ludności tam zamieszkałej należałoby prosić najdostojniejszy konsystorz naszej archidyecezyi o troskliwszy dobór duchowieństwa w tych kresowych parafiach. Szczegółów wywlekać przed publiczność nie myślę, gdyż zajmują się tem z energią godną lepszej sprawy dzienniki z przeciwnego nam obozu; zaznaczyć jednakże muszę, że dawno nie doznałem tak bolesnego wrażenia, jak wówczas, kiedy mi w pewnem miasteczku bukowińskiem pokazano chłopa polskiego, syna mazurskiego wychodźcy, który przeszedł na schyzmę, ponieważ ksiądz łaciński zbyt drogo chciał za pogrzeb jego ojca. Rzecz o pomstę do nieba wołająca!

Z drugiej strony te usterki duchowieństwa łacińskiego dają pochop i broń w rękę ludziom, którzy pragną siać niewiarę i indyferentyzm religijny pośród ludności rzemieślniczej.

Z tych żywiołów, które wyszczególniłem, utworzyło się polskie „społeczeństwo" na Bukowinie. Ścisłości i węzłów łączących poszczególne klasy z sobą ono nie ma, oprócz tego chyba jednego, że ludzie ci wszyscy mówią po polsku.

Pierwszym objawem, pierwszem zamanifestowaniem się polskości był fakt założenia przed dziesięciu laty *Gazety polskiej* w Czerniowcach. Redaktorem jej został p. Kołakowski, bardzo wówczas młody a bardzo zdolny dziennikarz, który — trawiony żądzą rozgłosu i rychłego zwrócenia na siebie uwagi ogółu — nie miał cierpliwości dorobić się imienia w którem-kolwiek z pism krajowych, tylko rzucił się na kresy i tam rozpoczął działalność zupełnie na własną rękę. Funduszów na założenie i podtrzymywanie gazety dostarczali — jak zawsze — ofiarni dla celów narodowych polscy Ormianie z Bukowiny.

Trzeba zupełnie niesprawiedliwym być, żeby zaprzeczyć p. Kołakowskiemu zasług na polu budzenia i skupiania polskości na Bukowinie; my nawet, występując z punktu widzenia ściśle konserwatywnego i szczerze katolickiego uczynić tego nie możemy. Tak! pracował szczerze, z zapaleniem się własnego interesu, robił jak uważał że bardzo najlepiej. Zrobił dużo dobrego, ale niestety i niemało złego.

Gazeta polska odrazu stanęła na stanowisku zupełnego indyferentyzmu religijnego. Wydawcy i redaktor zapomnieli, że łączność wyznaniowa dopomaga dzielnie łączności narodowej; zapomnieli i o tem, że rozbudzona religijność kojarzy się zawsze z rozbudzeniem uczuć patryotycznych. O tem oni nie pamiętali, a jednak często w świętokradzki sposób próbowali używać pozorów religijności do wywoływania demonstracyi narodowych. Taktyka ta, wprowadzona i po szańcach wykonywana przez reżyserów ruchów 1860-63 roku, znajdowała naśladowców w redaktorze *Gazety polskiej* i w tych, którzy się około niego kupili, i starali się rej wodzić wśród polskiej ludności rzemieślniczej w Czerniowcach.

Kierunek ten odbił się też fotograficznie na całej „Polonii" bukowińskiej. Ludzie ci przechodzą dziś to, co my przechodziliśmy przed laty trzydziestu. Pojęcia tak się chaotycznie pomieszały, że niejednego spotkać tam człowieka, który ci dziś jeszcze zupełnie szczerze prawić będzie o „obowiązku nieprzerwanej rewolucyi", o „szkodliwości intryg rzymskich" i zamatuje cię traktatem o „mesyanicznem powołaniu Polski", o „rozpiętej na krzyżu ofierze, która zbawić ma całą Europę i za europejskie grzechy cierpi".

Wszystkie szumnie brzmiące frazesy, które w świat puścili epigonowie dawnego romantyzmu politycznego, wszystkie hasła przeznaczone do „budzenia narodu" i do przeciwdziałania wpływom „straży pożarnej" są tam jeszcze zupełnie za dobrą monetę brane. Jeżeliby który z naszych powieściopisarzy pragnął napisać powieść z czasów ostatniego powstania, to na Bukowinie znajdzie tło wierne i nie zmienione, znajdzie ludzi mówiących i myślących tak jak mówiono i myślano przed 1863 rokiem.

Czemu to przypisać mamy? Niezaprzeczenie wiele *Gazecie Polskiej* i jej redaktorowi.

Przez dziesięć lat bez przestanku na szpaltach „swojej" gazety spotykali się Polacy bukowińscy z tymi frazesami i nauczyli się myśleć tak, jak ich uczono. Społeczeństwo z naszej materyał na społeczeństwo zupełnie surowy, chętny jednak i podatny stał się w ręku sprytnego redaktora gliną, z której ulepił co sam zechciał.

Rozstrząsnijmy teraz: co w dziele tem Kołakowski zrobił dobrego, a co złego? Zasługą jego jest niezaprzeczenie, że rozbudził poczucie polskości w takich nawet jednostkach, które z wszelkiem prawdopodobieństwem, bez tego wpływu nigdyby się polskiemi nie były stały. Z łatwością nawet przyszłoby nam przebaczyć mu ten demonstracyjny nastrój ludności, to święcenie orzełkami i szarfami — choć nam osobiście niemiły i trochę zabawnie wyglądający ten rodzaj popisywania się z uczuciami narodowemi — jednakże nie ma w sobie nic złego i wśród obcych jest nawet pewną atrakcyą dla umysłów prostaczych i zewnętrznych oznak potrzebujących.

Również mniej niebezpieczną i li na teatralny efekt obrachowaną jest owa domniemana rewolucyjność bukowińskich Polaków; chociażby oni co dnia śpiewali „Z dymem pożarów", to jeszcze rewolucyi nie zrobią rzemieślnicy polscy, bo nie mają jej robić przeciw komu, a jeżeliby kiedyś przestrzegali rumuńskich błaznów, urządzających dzień po dniu hece antipolskie, to — przyznam się — że bardziej nawet przysłużyłby się opinii o Polakach niż nasi „Sokoli", zwłaszcza z arcy-chrześcijańską rezygnacyą napad kilkunastu podpitych studentów.

Wielką, bardzo wielką winą *Gazety* i jej redaktora jest stanowisko, jakie *Gazeta* zajęła wobec Kościoła. Dziesięć lat wszczepiania w ludność niedojrzałą i duchowo zaniedbaną indyferentyzmu religijnego, nie przechodzi bezkarnie i kto wie, czy cała działalność p. Kołakowskiego i ludzi tak samo tu myślących nie pójdzie na marne właśnie przez to, że zajęli względem Kościoła takie stanowisko, że równocześnie z patryotyzmem narodowym nie szczepili żarliwości religijnej, a przeciwnie dawali ciągle nie dwuznacznie do zrozumienia, że religia i narodowość nic z sobą nie mają wspólnego, że można być dobrym Polakiem, a nie być zgoła chrześcijaninem.

Daj Boże, żeby przyszli mistrze tej ludności starali się zacierać te niebezpieczne i z gruntu fałszywe nauki, bo w innym razie cała ta budowa oparta na lotnym piasku demonstracyjnego patryotyzmu może runąć przy byle jakim podmuchu przeciwnego wiatru i runąć tem niewątpliwiej, że zawiała je wiatr ... Gazeta Polska, jaką posiadają w Czerniowcach.

Byt *Gazety Polskiej* w ostatnich czasach jest zagrożony; obiły mi się o uszy zdania, że Polacy z Galicyi powinni materyalnie poprzeć to pismo. Sądzę, że byłoby zupełnie nie w porządku, gdyby nasze pieniądze stawały się ... w bawełnę. ... sądzę od razu postawić. Otóż w tych sferach galicyjskich, w których dla dobrej sprawy poparcie znajdzie się z a w s z e, *Gazeta* z dzisiejszym swym kierunkiem na żadne poparcie liczyć nie może. Przeciwnie należałoby, ażeby OO. Jezuici, którzy obecnie osiedli w Czerniowcach i pracują przeważnie około rozbudzenia religijnego ducha wśród polskiej, rzemieślniczej ludności — założyli organ ludowy, mający na celu podniesienie ducha i stanu umysłowego wśród rzemieślniczej ludności polskiej ... my duchowieństwa... *Gazeta* pomoc znaleźć może, chyba wśród zwolenników *Nowej Reformy*.

Zbliżając się już ku końcowi tego pobieżnego szkicu, musimy się zastanowić jeszcze nad kierunkiem polityki Polaków bukowińskich i nad stosunkiem, jaki nam przyjąć wypada w obec tej naszej najbliższej i najbardziej z krajem związanej ludności.

Naszem zdaniem kierunek, jaki mniej więcej od trzech lat przyjęli Polacy bukowińscy, jest zgoła fałszywy i do żadnego dodatniego celu nie prowadzący. Jest to polityka, którą kierują się młodoczesi i Rusini narodowcy — żądać rzeczy niepodobnych do uzyskania, na drobne zdobycze nie oglądać się, drażnić owemi żądaniami wszystkich, tak rząd jak i obce żywioły tę ziemię zamieszkujące. Z krótkiego doświadczenia widzimy jasno, że polityka taka do niczego dobrego doprowadzić nie może; — członkowie tej partyi, te lata zapisały tylko straty. To trudno — raz powiedzieć sobie wreszcie musimy, że Bukowiny nie zdobędziemy. I wreszcie po co nam ją zdobywać, mamy przecież niezmierne obszary własnej Ojczyzny, które nam tylko odebrać potrzeba.

Beztronnie patrząc na te sprawy, uważałbym za najmądrzejszą politykę z naszej strony, ażeby dołożyć wszelkich wpływów i starań w celu obsadzenia parafii bukowińskich proboszczami zacnymi, pełniącymi szczerze swe obowiązki, i dobrymi Polakami w dodatku. Ksiądz idący na Bukowinę powinien uważać się za misyonarza, bo tam nie tylko ze schyzmą walczyć mu przyjdzie, a nie z tym indyferentyzmem religijnym, który Polacy sami karygodnie, w ostatnich latach zasiali. Ksiądz taki, powinien być do głębi duszy przejęty swą zaszczytną misyą, powinien świecić przykładem i życiem nieskazitelnem, powinien być siłą przyciągającą, łącznikiem wiążącym z sobą rozmaite ogniwa tej różnorodnej polskiej społeczności. Przy każdej parafii powinniśmy się postarać o założenie szkółki polskiej, gdzie dzieci polskie mogłyby się nauczyć czytać, pisać po polsku, mogłyby się zasadami religii i nabrać zasad zdrowego i nieprzerwanego patryotyzmu.

W ostatnich kilku latach weszło prawie w modę u Polaków nabywanie ziemskich majętności na Bukowinie — robi się to pod hasłem zdobycia większości głosów w kuryi większej posiadłości sejmu bukowińskiego. Hasło fałszywe, lecz rzecz sama w sobie nie naganna. Kupna te są po największej części „dobrymi interesami". Więc choć nam właściwie zależeć nie może na zdobyciu większości w jakiejkolwiek kuryi sejmu bukowińskiego, to przecież korzystne kupna poczynione przez Polaków wzbogacą zawsze majątek ogólnonarodowy, który kiedyś skapitalizowany, w danej szczęśliwej chwili będzie mógł być rzucony w inną stronę i dopomoże w przyszłości do wydobycia ziem ojczystych z przemożnej ... naszego narodu.

W ogóle sądzę, że powinniśmy zawsze uważać Bukowinę za ziemię, w której kolonie nasze znajdować się mogą zawsze i normalnie, bo bliskość metropolii podsycać ją będzie bezprzestannie nowemi sokami narodowemi, w której nasi rzemieślnicy, przemysłowcy, rolnicy etc. znajdą przez długie jeszcze lata korzystne zajęcie i wyborne interesa i kapitaliści nasi znajdą dogodną i pewną lokacyę swoich kapitałów, który przy ciągłej zwyżce cen ziemi w krótkim czasie podwoić się mogą.

Jednem słowem, winniśmy uważać tę sąsiednią ziemię na równi z domem do n a j ę t y m, który wynajmuje się wówczas, gdy jest za szczupło rodzinie, we własnym pomieścić się trudno i niewygodnie. W domu tym obcym, w tem czasowem mieszkaniu powinniśmy zachowywać się tak, żeby nam było jak najwygodniej; starać się należy żyć w zgodzie i spokoju tak z prawowitymi właścicielami tego domostwa, jak też i z współlokatorami; na hipotece tego domu możemy nawet lokować nasze oszczędności i niepotrzebne do własnego kapitały, ale zawsze z tą myślą przewodnią, żeby je w chwili potrzeby odebrać i odkupić za nie dawną ojcowiznę, która z rąk naszych się wysunęła przez niepoczciwe zapisy przodków. W ten sposób postępując, przysłużymy się kilkudziesięciu tysiącom obywateli, tak możnej ludności, która — daj Boże doczekać tej chwili — znajdzie pomieszczenie w stronach, w których wróg ciężki wyciska obecnie piętno polskie z każdej piędzi naszej ziemi.

KRONIKA.

Lwów 11 stycznia.

Dr. Józef Merunowicz, krajowy referent spraw sanitarnych, wyjechał dziś w powiat borszczowski, aby zbadać przebieg epidemii cholery w niektórych miejscowościach tego powiatu.

P. Władysław Struszkiewicz, radzca rządowy, inspektor kultury krajowej, bawi od wczoraj we Lwowie.

Wydział krajowy przyznał jednorazowe zasiłki po 100 złr.: Towarzystwom „Sokoła" w Gorlicach, Jaworowie, Nowym Sączu, Przemyślu i Wadowicach.

Konferencye dyrektorów galicyjskich szkół średnich odbędą się we Lwowie w dniach: 27, 28 i 29 marca rb.

Wiadomości dyecezyalne. Ks. Józef Pajączewski, dotychczasowy proboszcz w Zalasiu, otrzymał kanoniczną instytucyę na opróżnione po księdzu infułacie Krzemieńskim, probostwo w Morawicy. Administratorem parafii w Zalasiu mianowany został ks. Józef Brożek.

Prezentę na opróżnione gr. kat. probostwo *regiae collationis* w Przedzielnicy, nadało Namiestnictwo ks. Hieronimowi Kopyścianskiemu, dotychczasowemu plebanowi w Powroźniku.

Ślub. W sobotę dnia 14 bm. o godzinie pół do 6 wieczorem odbędzie się w kościele OO. Bernardynów ślub panny Maryi Mikołaschównej, córki pana Juliusza, znanego przemysłowca lwowskiego, z panem Władysławem Witkowskim, urzędnikiem kolejowym.

Klub szermierzy we Lwowie donosi, że w piątek d. 13 b. m., jakoteż we wszystkie następne piątki, w godzinach od 6—8 wieczorem odbywać się będą w lokalu klubu (ul. Kopernika 16) wspólne ćwiczenia w robieniu bronią (assauts).

Neofita. P. Siegfried Silberbusch, naczelnik stacyi kolejowej w Gurahumorze na Bukowinie w. m. przeszedł dnia 17 grudnia z żoną i trojgiem dzieci na łono rz. k. kościoła.

Piąty odczyt Towarzystwa oszczędności kobiet we Lwowie „O Księstwie Warszawskiem" wygłosi dr. Ludwik Finkel, prof. uniwersytetu lwowskiego, d. 13 stycznia, w piątek, o godz. 6 wieczorem w sali ratuszowej. Bilety w księgarniach i przy kasie.

W czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek 12 b. m. pogadanka: „Kościół w obec socyalizmu". Początek o godz. 7.

Wystawa krajowa. Rozpisano już konkurs na szkice budynków wystawowych. Potrzebne są szkice na 8 budynków, a mianowicie: na pawilon sztuk pięknych, gmach przemysłowy, pawilon dla budownictwa i architektury, pawilon rolniczy, pawilon leśno-łowiecki, salę koncertową, pawilon szkolny, pawilon dla literatury i dziennikarstwa.

Wydział „Kasyna miejskiego" na posiedzeniu z dnia 9 stycznia uchwalił — w myśl odezwy komitetu obywatelskiego z dnia 22 grudnia 1891 podpisanej przez pp. Edmunda Mochnackiego, Tadeusza Romanowicza i Wojciecha Dzieduszyckiego — pobierać za bilety wstępu na wieczorki tańcujące objęte tegorocznym programem zabaw na cele fundacyi im. Tadeusza Kościuszki po 20 ct. od każdej wprowadzonej osoby. Pierwszy wieczorek odbędzie się 14 b. m. Lista otwarta.

Odezwa. Upoważniony przez JCW. Arcyks. Stefanię do napisania dziejów rozwoju muzyki w Galicyi dla dzieła zbiorowego o Galicyi, mającego stanowić osobny tom w pomnikowem dziele p. t. „Oesterreich in Wort und Bild" — zwracam się do ruskich kompozytorów i do ruskich uczonych, którzy w jakimkolwiek kierunku pracują nad muzyką ruską, z prośbą, aby raczyli nadesłać życiorysy swoje, jak również wyszczególnienie prac. Za nadesłane kompozycye, zbiory pieśni, opracowania, rozprawy i wydawnictwa, gotów jestem na żądanie opłacić koszta przesyłki i zwrócić nadesłane nuty i książki. Również upraszam o wiadomości, dotyczące instrumentów starych i starodawnych pomników muzycznych.

Wszystkie pisma krajowe proszę o powtórzenie tej odezwy.

Dr. Franciszek Bylicki, Kraków, ul. Krupnicza.

Polowanie. Dnia 6 bm. odbyło się polowanie w Warężu, w dobrach p. Marmorosza. W 10 strzelb zabito 1 lisa, 5 rogaczy i 42 zajęcy.

Wybory uzupełniające. O opróżniony po śp. Alfonsie Czaykowskim mandat posła do Rady państwa z kuryi większych posiadłości Brzeżany-Podhajce-Przemyślany zgłosił tymi dniami do komitetu Centralnego swą kandydaturę p. Mieczysław Treter z Topolnicy, autor kilku rozpraw politycznych w języku polskim i niemieckim.

Jubileusz Ojca św. Onegdaj odbyło się posiedzenie ruskiego komitetu, który zamierza urządzić obchód jubileuszu Ojca św. Obradom przewodniczył ks. kanonik Bilecki, który uwiadomił zebranych, że już rozesłano do dekanatów wszystkich trzech ruskich dyecezyi odezwy, zapraszające Rusinów do wzięcia udziału w uroczystości jubileuszowej i pielgrzymce do Rzymu, oraz o zbieranie świętopietrza. Cena jazdy ze Lwowa na Ławoczne-Peszt do Rieki, ztąd morzem do Ankony, a z Ankony koleją do Rzymu wynosić będzie: a) pociągiem pośpiesznym I klasą 46 złr., II klasą 34 złr.; pociągiem osobowym I klasą 41 złr. 20 cnt, II klasą 30 zł. 60 ct., III klasą 19 złr. 60 cnt. Tam i napowrót dwa razy więcej.

Następnie wybrano komisyę adresową. Ma ona ułożyć treść adresu, który deputacya Rusinów wręczy Ojcu św. W skład tej komisyi weszli pp.: dr. Bartoszewski, prof. Wachnianin, ks. Dolnicki, dr. E. Ogonowski, ks. Toroński i dr. Szaraniewicz.

Z Koła literacko-artystycznego. Jutro we czwartek 12 bm. wieczorem, odbędzie się w Kole literacko-artystycznem zebranie literatów i dziennikarzy, na którem omawiane będą: sprawa Ugo Zjazdu literatów i dziennikarzy we Lwowie w roku 1894, i kwestya urządzenia działu literackiego i dziennikarskiego na powszechnej wystawie krajowej w roku 1894.

Będzie to zapewne jedno z najliczniejszych zebrań literackich z ostatnich czasów, gdyż niezawodnie wszyscy należący do świata literackiego b. uważali za swój obowiązek wziąć udział w tem zebraniu, na którem tak doniosłe sprawy mają być omawiane.

Początek posiedzenia o godzinie ósmej wieczorem.

Pożar. Dziś rano wskutek wadliwej konstrukcyi pieca, wybuchł ogień w mieszkaniu arcyksięcia Leopolda Salwatora. Uwiadomiona o pożarze straż miejska przybyła natychmiast pod wodzą zastępcy naczelnika p. Eliasiewicza i ogień ugasiła. Arcyksiążę wyraził p. Eliasiewiczowi podziękowanie za energiczne kierownictwo akcyą ratunkową i za szybkie stłumienie pożaru.

Wybory do Rady miejskiej. Wczoraj wieczorem odbyło się w sali ratuszowej posiedzenie obszerniejszego przedwyborczego komitetu obywatelskiego. Obradom przewodniczył profesor Zacharjewicz. Sekretarz p. Marynowski odczytał protokół z ostatniego posiedzenia komitetu obszerniejszego, a następnie sprawozdanie z dotychczasowej czynności komitetu ściślejszego. Odbył on 5 posiedzeń, na których zastanawiał się przedewszystkiem nad sposobem balotowania przyszłych kandydatów do rady, mając zawsze na celu charakter koalicyi byłych komitetów, który zasadniczo jako podstawę balotu przyjęto. Zastanawiono się nad każdym kandydatem, oceniano wszystkie jego zalety i wady, starano się informować dokładnie o charakterze, przeszłości, zapatrywaniach i stosunkach każdego z kandydatów, tak, iż mężowie poleceni przez komitet obywatelski z pewnością będą dobrymi radnymi i pracować będą uczciwie i rzetelnie dla dobra miasta. Pewną część listy kandydatów do przyszłej rady komitet ściślejszy już przygotował—i uzupełni ją w ciągu bieżącego tygodnia — w dniu 16 b. m. zaś komitet w wykonaniu poruczonego mu mandatu zaprosi komitet obszerniejszy i przedłoży mu ułożoną pełną listę 100 kandydatów do Rady miejskiej do zatwierdzenia. Sprawozdanie to przyjęto do wiadomości.

P. R a m u ł t zapytał komitet, czy omawiając listę kandydatów do Rady miejskiej, zastanawiał się nad osobą przyszłego prezydenta, a nadto oświadczył, iż występując na zgromadzeniu obywateli z przedmieścia Bajek, które odbyło się w grudniu rz. przeciw prezydyum miasta, nie miał wcale na myśli ani wiceprezydenta, ani 1 delegata, tylko prezydenta miasta.

Dr. B y k oświadczył, iż na posiedzeniach komitetu ściślejszego nie było mowy o przyszłych kandydatach na godność prezydenta miasta. Zdaniem mówcy dobrze się stało, że sprawy tej nie poruszano, bo przez to cała akcya wyborcza zeszłaby na niewłaściwe tory. Wybieranoby wówczas nie najlepszych radnych, ale stronników pewnej osoby upatrzonej przez komitet na prezydenta. Zadaniem wyborców nie jest wybieranie prezydenta, lecz 100 najlepszych radnych. Jeżeli wyborcy zadania tego dokonają, to z pewnością znajdzie się między tymi 100 radnymi osoba odpowiednia do objęcia godności naczelnika miasta.

Dr. D u l ę b a przedłożył sprawozdanie z czynności komisyi regulaminowej, której komitet obszerniejszy polecił uzupełnić ordynacyę wyborczą, zaprowadzić pewne w niej zaostrzenia, któreby zapobiegły nadużyciom podczas wyborów, a nadto wypracować instrukcyę dla komisyi skrutacyjnej. Komisya regulaminowa wzięła się natychmiast do pracy. Nim jednak ją ukończyła, magistrat wypełniając polecenie Rady miejskiej, wypracował odpowiedni regulamin, a Rada miejska na posiedzeniu z dnia 24 grudnia z. r. jednogłośnie go przyjęła. Wobec tego, że nowy regulamin wypełnia te luki

---

dowodzi wcale ich inteligencyi; jestto raczej tylko skutkiem dosyć pokaźnej liczby, w jakiej się osiedlili w Ameryce. Na sto tysięcy trafi się jeden taki, którego od biedy można z grubsza ociosać i zrobić go senatorem, ażeby się stało zadość idei równouprawnienia plemion, należących do unii. Jankes gardzi murzynem i powiada, że na głowie ma nie włosy, tylko wełnę. W stanach północnych nigdy jeszcze murzyn nie osiągnął wyższej posady nad lokaja lub konduktora tramwajowego. Najchętniej zaciągają się murzyni do milicyi, atoli nie z rycerskości, lecz dlatego że można jeść zadarmo i niewiele robić.

Nadzwyczaj powoli krzewi się pomiędzy murzynami chrześcijaństwo. Na 8 milionów, zaledwie półtora miliona przyjęło chrzest. Gorliwie zajmują się nawracaniem ich Baptyści i Metodyści, a dla łatwiejszej propagandy kształcą samych murzynów na księży, gdyż ci lepiej zdołają się porozumieć ze swoimi współplemieńcami i chętniejszy u nich znajdują posłuch. Oryginalny jest swoją drogą sposób, w jaki księża murzyńscy pracują nad zbawieniem swoich parafian. Oto mały przykład. Ksiądz murzyński ma kazanie. Maluje w niem jaskrawemi barwy męczarnie i katusze, jakie po śmierci czekają zatwardziałego grzesznika. Przerażeni piekielną perspektywą murzyni rzucają się wtedy na ziemię i następuje nieopisany płacz, krzyk i lament. Ksiądz czeka tymczasem, aż się uspokoją, a gdy to się stanie, przedstawia jeszcze wymowniej i jeszcze plastyczniej co się stanie z biedną duszą, która tu na ziemi nie słuchała głosu kapłana. Powtórny wybuch żałości i skruchy jest odpowiedzią na ten drugi ustęp kazania i tak aż do końca. Po wyjściu z kościoła murzyn dalej kradnie i próżnuje z całym swoim niezrównanym spokojem.

Tymczasem przyjeżdżamy do Charleston. Miasto w połowie murzyńskie. Czarni mieszkają całemi taborami na ulicach w braku pomieszkań. Nie robią nic, bo życie jest bardzo tanie, a zresztą potrzebują bardzo mało do wyżywienia się. Wystarczy im raz na dwa dni ręką ruszyć w porcie, aby zarobić sobie już na utrzymanie. Jeżeli zaś którykolwiek z murzynów uważa, że mu czegoś za mało, kradnie bez żenady, tem bardziej, że prawo własności nie jest w południowych stanach ściśle przestrzegane. Charleston nazywają yankesi amerykańską Wenecyą, co jest oczywiście przesadą i tylko dowodzi, że ci, co go tak nazwali, obdarzeni byli sporą dozą bujnej fantazyi. Z Charlestonu udamy się jeszcze do Sawannah, gdzie śmiercią bohatera poległ nasz Kazimierz Pułaski, i tu urywa się podróż koleją, gdyż dalsza podróż jest niemożliwą z powodu zbyt małego bezpieczeństwa. Dodajmy, że tor kolejowy zaniedbany jest tak, jak nigdzie indziej na świecie. W Sawannah siadamy więc na statek i zrazu rzeką, potem zaś przez morze pędzimy do Florydy, a w drodze towarzyszą nam stada rekinów, czyhających na zdobycz.

Po dwunastogodzinnej jeździe okręt zapuszcza kotwicę i jesteśmy u celu.

Floryda jest ciekawym półwyspem. W południowych jej okolicach ciągną się niesłychane bagna, o jakich my w Europie pojęcia nie mamy. Są nie do przebycia. Na południe od Florydy rozwija się przed zdumionemi oczyma cały szereg raf koralowych, zajmujących czasem przestrzenie kilku mil kwadratowych. Tworzą je, jak wiadomo, malutkie żyjątka, polipy, interesujące z tego powodu, że proces rozmnażania się jest u nich zupełnie odmienny, niż u wszystkich innych żyjących istot na ziemi. Polip pęka na dwie połówki, z których znowu każda przepoławia się dalej i tak w nieskończoność. Więc, gdy u innych zwierząt starsza generacya umiera, a żyje młoda, u polipów żyje ona w nieskończoność. Do zachowania swojej egzystencyi potrzebują polipy najmniej 20 stopni Celsiusza, jeżeli jest zimniej, to giną. Z daleka przedstawiają rafy koralowe przepyszny widok, gdyż polipy, które stanowią ich cząsteczki, są zabarwione najrozmaiciej od delikatnego koloru lilii, aż do szkarłatu. Koło Florydy rafy tworzą całe wysepki, które nazywają się w ludowym języku „kluczem", gdyż idą łańcuchem aż do Nowego Orleanu.

Pierwszem miasteczkiem napotkanem po wylądowaniu na Florydę jest Jacksonville, poprzecinane alejami z palm i bananów. Ludność zjada chętnie banany, przeważnie jedzą je kobiety i dzieci. Liście bananu bywają kolosalne i zwykle jeden banan wystarczy, ażeby ocienić całą chatkę. Ztąd robimy wycieczkę po kraju, ażeby zobaczyć nareszcie cuda krainy „słońca i kwiatów". Pierwszy i najważniejszy cud stanowią tu nieprzejrzane lasy podzwrotnikowe, gdzie rosną w malowniczym nieładzie palmy, platany, cedry, banany i magnolie, proste jak świeca, strzelające na kilkadziesiąt metrów do góry, a u szczytu dopiero zakończone pękiem szerokich liści. Zaledwie zdumione oko ma czas objąć ten świat nieznanych czarów, a oto znowu druga osobliwość: olbrzymie, niepojęte bagna cedrowe, które tworzy gęsta masa gnijących cząsteczek roślinnych. Na tych bagnach zaczyna się prawdziwie amerykańska fauna. Tu żyją najrozmaitsze płazy, aligatory, przypominające kształtem krokodyli, długie na 5 metrów, ogromne żółwie i wreszcie węże, tworzące olbrzymie sploty, nieraz składające się ze stu albo dwustu najjadowitszych żmij. Spojrzmy nad głowę. Uwija się nad nami stado florydańskich papug, zielonych, z czerwonemi główkami, których ogromne stada, napełniające powietrze wrzaskiem nie do opisania, przedstawiają niezmiernie oryginalny widok dla Europejczyka. Tu także wybrały sobie siedlisko liliputy ptasiego rodu, małe kolibry, żyjące miodem zbieranym z bujnego kwiecia podzwrotnikowego. Kolibry żyją wyłącznie prawie na południu, czem dalej ku północy, tem mniej się ich spotyka, zdarza się jednak, że gromadnie zapędzają się aż nad Michigan, gdzie hodują umyślnie dla nich rośliny, ażeby ich tu zwabić.

Prawdziwym cudem przyrody jest słowik amerykański. Posiada on zdolność naśladowania wszystkich głosów, wybornie udaje papugę, a nawet naśladuje plusk wody i krzyk ludzki. Oprócz tego posiada oczywiście głos własny. Słowik amerykański jest też rzeczą poszukiwaną i drogo płaconą. Z radością witamy wronę florydańską, która przypomina nam zupełnie wronę naszą, od której różni się tem tylko, że jest zabarwiona lazurowo.

Na suchych miejscach żyje grzechotnik, długi trzy razy tak, jak ręka ludzka, wydający ze siebie głuchy chrzęst. Grzechotnik jest jadowity jak zresztą bardzo wiele innych gadów florydańskich. Na szczęście krajowcy mają dobry sposób na ukąszenie jadowitych płazów. W tej chwili, kiedy Florydańczyk zostaje ukąszony, pędzi do domu i upija się alkoholem. Upicie się jest rzeczywiście skuteczne w tym wypadku, gdyż prawie zawsze neutralizuje działanie trucizny, a mając do wyboru: śmierć albo pochłonięcie kilkunastu kieliszków alkoholu, Florydańczyk wybiera zawsze, nawiasem mówiąc bardzo chętnie, to drugie wyjście. Bardzo zmyślnem zwierzęciem jest szop tutejszy, trzymany po domach i żywiący się rakami i rybami. Pasyę jego stanowi mycie małych piesków. Kiedy zobaczy małego psa, chwyta go bez żenady, niesie do rzeki, szoruje, a potem puszcza. Z tego powodu psy ogromnie boją się szopów. Szczur florydański bez porównania większy od naszego, należący do tak zwanych torbowców, zwierząt bardzo niskiego ustroju, a łażący z wielką łatwością po drzewach, obchodzi nas o tyle, że nosimy futra z jego włosów, które uchodzą za kangury i jako kangury bywają sprzedawane. Okropnem zwierzęciem jest *mefitis*, który wydaje z siebie nieznośny odór. Podrażniony, pachnie *mefitis* na kilka mil w około, a jeżeli broń Boże tryśnie na człowieka właściwym tylko jemu płynem, to przez kilka miesięcy zostanie przy człowieku okropny zapach. Nie pomogą ani kąpiele, ani mycie się, ani perfumy, a ludzie uciekają od takiego biedaka, jak od zapowietrzonego.

Zmęczeni tylu wrażeniami wracamy do domu. Opuszczamy rąbek lasu, a nad głową przefruwa nam jak na pożegnanie florydańska pantera, królowa tutejszych lasów.

Pewien amerykański poeta powiedział, że nikt bezkarnie nie spaceruje pod palmami. Prawdę tych słów zrozumiemy dopiero, powróciwszy z wycieczki leśnej do domu. Setki tysięcy mikroskopijnych żyjątek obsiadło nam głowę, szyję, ręce i nogi, a myliłby się ten, ktoby sądził, że ubranie ochronić zdoła od wścibskich zwierzątek, między któremi prym trzyma z tytułu swej wielkości pchła ziemna podobna do naszej. Wpija się ona pod paznogcie i rozgospodarowuje się tam jak u siebie. Znosi jaja, wylęga potomstwo, wskutek czego palec zaczyna ranić się, ropić i gnić nareszcie. Przezorny jednak podróżnik nie czeka tych wszystkich smutnych następstw, tylko wróciwszy do domu, każe sobie zawołać młodą murzynkę, która z podziwienia godną zręcznością za lichą zapłatę, powyciąga pchły, uwalniając w ten sposób od okropnych boleści. Młode murzynki są w tem specyalistkami i wiele z nich z tego żyje.

Noc jest we Florydzie straszliwa. Powietrze przepełniają milionami ćmy, komary, chrząszcze i moskity a biada temu, ktoby otworzył okno mieszkania. Ujemne te stosunki panują tylko w lecie, na zimę za to Floryda zamienia się w raj prawdziwy, a mnóstwo chorych na płuca przyjeżdża tutaj na kuracyę.

St. Augustin, portowe miasteczko, z którego mamy odpłynąć z powrotem, jest kolonią hiszpańską i szczyci się tem, że jest najstarszem miastem w Ameryce, gdyż sięga roku 1565. Tu możemy oglądać najautentyczniejszych hidalgów hiszpańskich, dumnych i nie chcących pracować, i pobożne damy hiszpańskie, z których wiek XIX nie starł jeszcze piętna średniowieczności. W St. Augustin odbywają się największe w Florydzie targi na tutejsze wyborne owoce południowe.

Wsiadamy nakoniec na statek. Ostatni raz oko, oślepione blaskiem podzwrotnikowej przyrody, rzuca pożegnalne spojrzenie krainie „kwiecia i słońca", zanim szybki parowiec nie zawiezie nas napowrót do mroźnej i śnieżnej, lecz kochanej zawsze, starej Europy.

i niedokładności, nad któremi miała obradować komisya regulaminowa, zaniechała ona swej pracy. Dr. Dulęba odczytał uchwalony przez Radę miejską regulamin, a zgromadzenie przyjęło go do wiadomości.

Sprawę zwołania walnego zgromadzenia w zastępstwie nieobecnego dra Weigla referował prof. Rawer.

Po przemówieniach pp. Głodzińskiego, dra Piseka, Ihnatowicza i dra Małeckiego uchwalono zwołać zgromadzenie wyborców. Ułożenie porządku dziennego zgromadzenia i oznaczenie jego terminu poruczono komitetowi ściślejszemu.

Z kolei dr. Małachowski odczytał obszerny, z wszechstronną znajomością rzeczy i wielką erudycyą zredagowany program komitetu obywatelskiego. Komitet powstał z inicyatywy owych 26 radnych, którzy w roku zeszłym po ogłoszeniu rezultatu komisyi skrutacyjnej zrzekli się swych mandatów. Inicyatorowie jego mieli na oku ważne i ciężkie zadania, jakie czekają przyszłą Radę w latach 1893, 1894 i 1895 i dlatego też w skład komitetu obszerniejszego powołali chętne, uczciwe i przydatne żywioły ze wszystkich stronnictw i warstw naszego miasta. Weszli więc do niego reprezentanci wszystkich komitetów, które się zarysowały podczas ostatnich wyborów do Rady miejskiej, a nadto reprezentanci „Koła mieszczan“, które utworzyło się w lipcu r. z. dla strzeżenia praw kupców, przemysłowców i rękodzielników Wszystkich tych ludzi zjednoczył komitet do wspólnej i jednolitej akcyi w imię hasła: dobro i godność stolicy kraju. Akcya innych komitetów zapowiadająca walkę przeciw jednostkom, które o mandat ubiegają się w celu zrobienia dobrego interesu, może tylko poprzeć działalność komitetu obywatelskiego, gdyż i on ostro potępia nadużycia i zamachy na swobodę wyborców, energicznie wystąpi przeciw jednostkom ubiegającym się o mandat tylko dla interesu, gdyż chce mieć w przyszłej Radzie tylko tych ludzi, którzy z dobrą wiarą i poświęceniem będą pracować dla dobra miasta i potrafią działalność swą dostroić do godności stolicy kraju. Dalej wylicza program najważniejsze zadania, jakie czekają przyszłą Radę, a na pierwszem miejscu stawia przyszłą wystawę krajową, jako sprawę dominującą nad wszystkiemi innemi sprawami miasta i kraju. Program rzuca myśl reformy i rewizyi statutu miejskiego, zmiany ordynacyi wyborczej w ten sposób, by prezydent był wybierany na lat 6, a co dwa lata było wybieranych po 33 radnych, zmiany instrukcyi dla magistratu i ustawy budowniczej, porusza sprawę budowy nowego teatru, kolei elektrycznej, asanacyi miasta, reformę urządzeń dobroczynnych i wiele innych spraw żywotnych. (Liczne brawa).

W dyskusyi nad programem dr. Dulęba żądał, aby w programie położono większy nacisk na ważność asanacyi miasta, a pp. Ramułt i Platowski domagali się, aby program na naczelnem miejscu postawił także sprawę podniesienia przemysłu krajowego.

Przeciw programowi przemawiał dr. Grek. Ze wszystkiem tem, co powiedziano w programie zgadza się w zupełności, ale mimo to musi być dysonansem w tej wielkiej budującej symfonii, wystąpić przeciw programowi i mówić o tem, co w programie pominięto. Mianowicie nie poruszył program komitetu obywatelskiego wielu spraw, które znalazły miejsce w programie komitetu powszechnego, a mianowicie nic nie wspomniał o dziwnym stosunku organu kontrolującego (Rady miejskiej) do organu wykonawczego (magistratu). Także nie dał program komitetu obywatelskiego satysfakcyi moralności publicznej, nie zaznaczył jasno stanowiska swego względem korupcyi wyborczej, nie potępił nadużyć i nie powiedział otwarcie, że chce z listy kandydatów do przyszłej Rady usunąć te osoby, na których korzyść fałszowano głosy. Zdaniem mówcy ta kwestya jest jedynym powodem rozdzielającym miasto na kilka komitetów. Gdyby komitet obywatelski ostro potępił praktykowane dotąd nadużycia wyborcze, toby w ten sposób utorował najlepszą drogę do solidarności i jedności między poszczególnymi komitetami.

W odpowiedzi na to przemówienie zaznaczył dr. Małachowski, że komitet obywatelski również potępia fałszerstwa, a najlepszym tego dowodem jest to, że powstał z inicyatywy tych, którzy nadużycia te potępili. Usunięcie jednak owych pięciu radnych, na których korzyść głosy fałszowano, jest kwestyą balotu.

Wkońcu upraszał dr. Małachowski radnych, zasiadających w obecnej Radzie, aby przychodzili na zgromadzenia wyborców jak najliczniej i w razie potrzeby dawali wyborcom wszelkie wyjaśnienia.

Program komitetu przyjęto i na tem obrady zakończono.

Komitet „powszechny“ ukonstytuował się w następujący sposób: Prezesem wybrany został dr. Dziwiński Placyd, wiceprezesami pp. Gaberle Emil i Wiewiórski Jan, sekretarzami pp. Mrazek Bronisław i dr. Obmiński Stanisław, skarbnikiem p. Dzieślewski Walery. Do komitetu ściślejszego weszli pp.: Herzmanek Leon, Basch Karol, Kukawski Leopold, Cirok Jan, Cybulski Julian, dr. Dębicki Klemens, Drągowski Zygmunt, Fleszyński Wilhelm: dr. Gottlieb Henryk, Hillich Marcin, Kiernig Franciszek, Kruk Stanisław, Lachowski Stanisław, ks. Mardyrosiewicz Jan, Mravincsic Czesław, Münnich Tadeusz, Pachole Franciszek, Piotrowicz Zygmunt, dr. Rodecki Czesław, Schmidt Józef, dr. Tabaczyński Stanisław, Wang Julian, Werner Arnold, dr. Małaczyński Aleksander. Jako zastępcy pp.: Gąsiorowski Ferdynand, Gieszkowski Zygmunt, Łuczakowski Konstanty, Malewski Leonard, Padewski Józef, Smoleński Maryan.

Kancelarya komitetu powszechnego znajduje się przy ulicy Batorego l. 12, na pierwszem piętrze, otwarta od godziny 12 do 1 w południe i od 6 do 7 wieczorem

Cholera. Stan cholery w powiecie borszczowskim jest obecnie następujący: W Załuczu zachorowało obecnie 14 osób; 7 z nich umarło, 7 zaś wyzdrowiało; od 3 stycznia b. r. nikt więcej nie zachorował tam na cholerę; w Wierzbówce zaszły 4 wypadki, wszystkie śmiertelne; od 7 stycznia nie było żadnego wypadku; w Nowosiółce nad Zbruczem sprawdzono dnia 9 b. m. cztery wypadki śmiertelne; więcej chorych nie ma; w Pukłakach sprawdzono dwa wypadki cholery w jednym domu; chorzy pozostają przy życiu; w powiecie husiatyńskim w styczniu b. r. w Siekierzyńcach zmarło jedno dziecko na cholerę, więcej chorych nie ma; w Zielonej zachorował zarobnik i pozostaje dotąd w opiece lekarskiej.

Na pograniczu rosyjskiem w wielu miejscowościach, położonych nad Zbruczem panuje cholera, nie mniej i na całem Podolu rosyjskiem zdarzają się dość liczne wypadki choleryczne.

W Kamieńcu podolskim ponownie wybuchła cholera i porywa wiele ofiar.

Ze Stanisławowa piszą nam: Z powodu założyć się mającej dyrekcyi ruchu kolei państwowych w Stanisławowie, umieszczono już w *Przeglądzie*, jakoteż w innych dziennikach lwowskich kilka artykułów broniących egzystencyi przesiedlić się tam mających urzędników, lecz nikt nie podniósł dotąd głosu w sprawie panującego w Stanisławowie dzikiego — że tak powiem — zwyczaju co do wynajmu mieszkań.

W Stanisławowie mieszkania najmują się rocznie, tj. na czas od maja do maja i prawo broni tego miejscowego zwyczaju z całą ścisłością. W tym międzyczasie nie można się wyprowadzić, jak tylko płacąc czynsz aż do końca stanisławowskiego roku czynszowego, tj. do końca kwietnia.

Otóż weźmy pod uwagę kilka wypadków zmuszających do zmiany mieszkania: W znacznej części domów stanisławowskich, pobudowanych przeważnie z pruskich murów, panuje grzyb. Człowiek przezorny, dbający o zdrowie swoje i swojej rodziny, nie może przecież w takiem mieszkaniu pozostać — chociaż grzybka, mieszkanie odnajmując nie zauważył, bo mieszkanie do odnajęcia zwykle jest odświeżone i wywietrzone. Cóż robić? Wyprowadź się i zapłać do kwietnia, bo cię sfantują, zlicytują i nikt ze straży bezpieczeństwa nie stanie w twej obronie, pomimo, żeś wymówił wyprowadzenie się na 14 dni lub 6 tygodni naprzód.

Albo po wprowadzeniu się przekonujesz się, że sąsiadka wirtuozka gra na fortepianie od 12tej w południe do 12tej w nocy, dzieci sąsiada hałasują jak janczarska kapela, pułki szwabów, stonóg i pluskiew spacerują po ścianach etc. etc. — mimo to siedź do końca kwietnia i znoś swoją nędzę.

Inny wypadek: Urzędnik zostaje przeniesiony ze Stanisławowa. Kiedy przyjechał do Stanisławowa, najął mieszkanie za czynsz miesięczny, nikt mu nie mówi o tym zwyczaju, że musi do maja mieszkać lub płacić przeniesiony wymawia na 14 dni naprzód, przyczem mu gospodynia znowu o terminie nie wspomina i chce wyprowadzić rzeczy na kolej — a tu brama zamknięta wyjątkowo na kłódkę. Idzie do gospodyni, prosi o otwarcie bramy — pani gospodyni obrzuca go gradem obelg i każe sobie płacić czynsz za kilka miesięcy naprzód, aż do końca kwietnia — idzie do pana prezydenta miasta o interwencyę — pan prezydent przyznaje słuszność obywatelce stanisławowskiej i nie daje na pomoc ani kawałka policyanta. Skrzywdzony, idzie więc dalej do adwokata.

Aż ten go wysłuchuje, bierze 4 złr. za skargę o gwałt i za stawanie na termin, rozprawa wyznaczona nazajutrz, przychodzi do skutku — ale sędzia radzi ugodę, tj. zapłać biedny urzędniku obywatelce, albo procesuj się dalej, bo pan obrońca strony realnościowej oświadcza najspokojniej, że twoje rzeczy nie są twoją własnością tylko twojej gospodyni. Kruczek do przewleczenia sprawy, i rób co chcesz, musisz zapłacić, bo musisz przecie wyjechać na nowe miejsce służbowe!

A takich wypadków moglibyśmy kilka wyliczyć.

Temu stanowi rzeczy powinno się zapobiedz przez stanowcze zniesienie omówionego zwyczaju — wprawdzie świetna rada gminna uchwaliła udzielać urzędnikom nowej dyrekcyi kolei w Stanisławowie pomocy i opieki w sprawie odnajmu mieszkań — ale wątpimy, czy to co pomoże w obec już teraz objawiającej się tu dążności niektórych właścicieli domów do możliwie największego zysku z tej okoliczności, że do dwustu rodzin przybędzie wraz z nowym urzędem.

Jeżeli zaś zwyczaj wynajmowania mieszkań na rok nie może być, czy to w drodze ustawy, czy też w drodze prawomocnej uchwały gminnej zmieniony na zwyczaj 14-dniowego, względnie 6-tygodniowego wypowiadania wynajmu, — niechaj przynajmniej głos nasz będzie przestrogą dla tych, którzy wraz z nową dyrekcyą będą przeniesieni do Stanisławowa.

Nasze koleje w zimie. Otrzymaliśmy następujące pismo: W sobotę 7 b. m. wyjechałem z Podzamcza do Borek wielkich, gdzie wysłane przez mego męża konie z ciepłą odzieżą czekały dla najprędszego przewiezienia mnie do domu, t. j. do Skałatu Konduktor pociągu tego, który o 3 popołudniu stanąć miał w Borkach, odebrał mój bilet w Tarnopolu, t. j. na przedostatniej stacyi, gdzie go kilkakrotnie prosiłam, by mi otworzył, ponieważ tam wysiądę Mimo to w Borkach przez cały czas zatrzymania pociągu nikt mi nie otworzył, a drzwi i okna były tak zamarznięte, że sama jadąc w wagonie otworzyć nie mogłam. Wołania mego i krzyku o otworzenie nikt nie słyszał, przyrządu alarmowego nie było, i po dziesięciu prawie minutach daremnego mojego wołania, ruszył pociąg dalej do stacyi Maksymówki, gdzie tylko przypadkowi zawdzięczam, że ze strony przeciwnej od stacyi obcy człowiek jakiś wołanie me usłyszał i zawiadomił służbę kolejową, a ja wysiąść mogłam nareszcie z wagonu. Zawiadamiam niniejszem szanowną Dyrekcyę kolei, że był to pociąg dzienny, wychodzący ze Lwowa o godzinie 10-tej rano i w dzień jeszcze przechodzący przez Borki. Uprzejmości i szlachetności p. naczelnika stacyi w Maksymówce zawdzięczam, że mnie w mieszkaniu swem przyjął i ogrzał, bo na dworze był mróz 20-stopniowy, a następnie dopomógł do dostania się do domu, opatrzywszy mnie w cieplejszą odzież, ponieważ furman mój z końmi, sądząc, że tego dnia nie przyjadę, odjechał do domu. Przybyłam do domu po północy, zamiast wieczorem o 5-tej. *C. W.*

Ze Stryja piszą nam:

„Gmach Sokoła, to nowoczesna świątynia polskości.“ Zdanie to napisał jeden z najdzielniejszych naszych Sokołów, Krieger, w jednodniówce wydanej zeszłego roku na dochód stryjskiego „Sokoła“, i wierni temu hasłu nasi Sokoli dążą energicznie do wzniesienia własnego domu.

Na dochód funduszu budowy odbył się w sobotę wieczór muzyczny, poprzedzony odegraniem alegoryi scenicznej St. Rossowskiego p. t. „Z mroków w świt“. Koncert był bardzo zajmujący. Najwięcej uznania zjednał sobie mięszany chór „Sokoła“, posiadający kilka wybitnych sił, jak pani Wolska, która wchodziła niegdyś w skład lwowskiej „Lutni“, pani Belkowska, ukończona uczenica wiedeńskiego konserwatoryum, itp. Piosenki Benedicta, Moniuszki i Worobkiewicza, przez ten chór wykonane, bardzo się podobały. Program obejmował jeszcze „Serenadę“ Mozarta na kwartet smyczkowy, śpiew solo Moniuszki „Dwie zorze“ i parę innych punktów odznaczających się artystycznem wykonaniem.

Spodziewamy się, że energiczny prezes „Sokoła“ inżynier Ślósarski i dzielny wydział postarają się o cały szereg takich koncertów w karnawale, który skutkiem żałoby narodowej straci prawdopodobnie swą zwykłą cechę. *E. H.*

Z Winogradu pod Ottynią nam piszą: Wczoraj, to jest 9 b. m. zauważyłem zjawisko, które ze względu na swą, jak sądzę niezwykłość, zasługuje, by doszło do publicznej wiadomości. Oto około godz. $^1/_4$4 po południu zobaczyłem przy zupełnie pogodnem niebie, z prawej i lewej strony zachodzącego słońca, w niewielkich a równych od niego odległościach, dwa świetlane słupy, jaśniejące wszystkimi kolorami tęczowymi. Były to niejako dwa końce prześlicznej tęczy. Nadto trzeci słup o nadzwyczaj jasnym, złocistym blasku sięgał od słońca do ziemi. Wysokość wszystkich słupów była jednakową i malała w miarę zniżania się słońca. Widok był wspaniały. Lud uważa podobne zjawiska za zapowiedź nadzwyczaj silnych mrozów.

Dziś o wschodzie mieliśmy tu wśród zabudowań 20° R. niżej zera; w otwartem polu było niezawodnie dwadzieścia kilka stopni.

Zmarli. Adam Pełczyński, były inżynier miejski w Nowym Sączu, umarł w 40 roku życia. — Anna Kirchbergerowa, wdowa po urzędniku starostwa, była właścicielka poczty, umarła w Nowym Sączu, przeżywszy lat 82. — Karol Marossanyi, emerytowany starszy komisarz starostwa, przeżywszy 72 lat, umarł w Nowym Sączu. — Ks. Dominik Ciołkosz, emerytowany proboszcz z Liszek, umarł w Skawinie. — Teofila z Gailów Handlowa, wdowa po urzędniku kolei żelaznej, przeżywszy 47 lat, umarła w Krakowie.

Podziękowanie. JWP. Juliusz hr. Tarnowski, właściciel dóbr Byszów i Olesin, darował na budowę szkoły ludowej w Byszowie kwotę 300 zł. — Także odstąpił gminie swą cegielnię do wyrobienia cegły na cerkiew, ile potrzeba, na lat kilka.

Mieszkańcy Byszowa za dar ten hojny składają mu najserdeczniejsze podziękowanie: Niechaj Bóg wszechmocny jak najdłuższe lata zachować go nam raczy i daj Panie Boże innym gminom takiego pana i dobrodzieja.

Łukasz Michalczuk i *Piotr Krawczuk* w imieniu gm.

Stan powietrza. Termometr — 7° Reaum. o godzinie 7 zrana, a w południe — 10 stopni R. Barometr 752. Idzie w górę. Pochmurno, śnieg i wiatr mroźny.

Lokaj godzi się do służby.

— Bardzo dobrze... Macie dobre świadectwa... ale czy nie używacie trunków?

— Nie, proszę pana, nigdy... Czasem wypiję jeden kieliszek i to chyba wtedy, gdy mam już w głowie...

Korespondencya Administracyi. *WP. Geisler w Samborze.* Powieść „Wiarusy“ wyjdzie w osobnej odbitce. Poprzednie numera tej powieści są wyczerpane.

Teatr. Dziś we środę (dnia 11go stycznia) w teatrze hr. Skarbka o godzinie 7mej wieczorem: „Powietrze wielkomiejskie“, komedya w czterech aktach Oskara Blumenthala i Gustawa Kadelberga. — Jutro we czwartek (dnia 12go b. m.): „Angot“, operetka w 3 aktach Lecocqa.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 9 stycznia.

(*Z*). Giełda nasza znajduje się wciąż pod korzystnem wrażeniem zawartego przez grupę rotszyldowską układu z rządem węgierskim i rozpoczętej dziś w ministerstwie finansów konferencyi w sprawie austryackich operacyi walutowych, które przenoszą sumę pół miliarda reńskich. Dlatego też rozpoczęto i dzisiejszy obrót zwyżką pomimo, że wielu spekulantów żywi obawę, iż w dniu jutrzejszym przyjść może do zaburzeń w Paryżu, a renta francuska spadła na $93^1/_2$, t. z., że w ciągu niespełna dwóch miesięcy spadła o 7 prct. W końcu przemogła obawa i gdy arbitraż począł rzucać na targ znaczne partye rozmaitych walorów, cofnęły się kursa do sobotniego poziomu, niektóre nawet jeszcze niżej. Tylko kilka akcyi bankowych podniosło się mimo to, jak kredyty, anglosy, uniony i bankvereiny.

Renty wspólne zamknięto kursem o 20 ct. niższym od sobotniego, natomiast podrożały akcye złote. Podrożały także monety złote, skutkiem wielkich sprzedaży arbitrażu.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 316·50, węgierskie 363·75, Anglobanki 150·75. Uniony 244·50, Bankvereiny 115·90, Landerbanki 228·70, Ludwiki 218·80, Czarniowieckie 250·—, Renta papierowa 98·25, srebrna 97·80, austryacka złota 116·75, papierowa 100·60, węgierska złota 114·30, papierowa 100·70, dukat 5·64, 20-frankówka 9·58—, marki 11·82—, ruble 1·20$^3/_4$,

Telegramy „Przeglądu“

Wiedeń 11 stycznia. Wczoraj w południe odbyła się w biurze szefa sekcyi Niebauera konferencya z reprezentantami grupy rotszyldowskiej, na której omawiano szczegółowo punkta zawrzeć się mającej umowy. Dziś o godzinie 5 po południu odbędzie się w biurze p. Niebauera dalsza konferencya.

Sigmaringen 11 stycznia. Wczoraj przedpołudniem przyjmowali rumuński następca tronu i jego narzeczona księżniczka Marya Edynburska gości, którzy składali im gratulacye.

W południe odbyło się śniadanie w kółku rodzinnem, a o godzinie 2 po południu ślub cywilny w obec rodziców, cesarza Wilhelma, króla Karola i ministrów rumuńskich. — O godzinie 4 po południu odbył się ślub w kościele katolickim. Proboszcz miejscowy pobłogosławił związek młodej pary.

Cesarz Wilhelm nadał rumuńskiemu następcy tronu order czerwonego orła i zamianował księcia Edynburskiego admirałem floty niemieckiej.

Berlin 11 stycznia. Koń pewnego oficera artyleryi uderzył kopytem porucznika księcia Fryderyka Solms-Braunfelsa tak nieszczęśliwie, że zgruchotał mu prawe kolano i goleń.

Gelsenkirchen 11 stycznia. Prawie wszyscy górnicy w tutejszym i w bochumskim okręgu stanęli wczoraj do pracy. W rewirze esseńskim bastuje 1230 górników, w saarbrükeńskim stanęło do pracy 11.000 ludzi.

Paryż 11 stycznia. Wszyscy ministrowie podali się do dymisyi. Carnrot przyjął ją i polecił Ribotowi zrekonstruowanie gabinetu.

Na placu Zgody było wczoraj zbiegowisko, które policya rozpędziła i aresztowała około 15 osób, w ich liczbie kilku znanych anarchistów, którzy mieli przy sobie rewolwery i sztylety.

Paryż 11 stycznia. Bezpośrednim powodem przesilenia gabinetowego były nowe ataki pism *Figaro* i *Gaulois* na ministra wojny Freycineta, któremu pisma te zarzucają, że pozostawał w ścisłych związkach z zajmującymi się przekupstwem ajentami Artonem i Korneliuszem Hertzem, i że przeforsował to, iż na kolejach wprowadzono przyrząd do hamowania pociągów, na który posiadali patent ci dwaj macherzy, pomimo, że wszyscy ludzie fachowi oświadczyli się przeciw temu przyrządowi.

W południe odbyła się w pałacu elizejskim narada gabinetowa, na której Ribot oświadczył, że zarówno on, jak i koledzy jego uznają konieczność rekonstrukcyi gabinetu. Carnot przyjął tę dymisyę i polecił Ribotowi zrekonstruować gabinet.

Nowa lista ministrów opiewa jak następuje: Ribot obejmuje prezydyum i sprawy wewnętrzne, Develle sprawy zagraniczne, Loizillon tekę wojny, Viger rolnictwo a inni ministrowie zatrzymują swe teki.

Wiedeń 11 stycznia. Wczoraj odbył się u namiestnika hr. Kielmansegga na cześć hr. Taaffego obiad, na którym byli wszyscy ministrowie, z wyjątkiem p. Zaleskiego, który wyjechał na pogrzeb córki, tudzież wszyscy namiestnicy austryaccy. Przed obiadem wręczono hr. Taaffemu w upominku artystycznie wykonane album.

Budapeszt 11 stycznia. W sejmie węgierskim w dalszym toku debaty budżetowej zbijał p. Weckerle zarzuty Polonyiego, jakoby dzisiejsze urządzenie kancelaryi gabinetowej Najj. Pana nie odpowiadało prawnopaństwowemu stanowisku Węgier. P. Weckerle oświadczył, że potrzebę kancelaryi gabinetowej uznać musi każdy, kto wie jak punktualnie Korona załatwia wszystkie sprawy, które o nią się oprą, (żywe okrzyki „Eljen“) i jak sumiennie, z jakiem poświęceniem wypełnia monarcha swe obowiązki. (Ponowne burzliwe okrzyki „Eljen“). Sejm przyjął pozycyę budżetową „kancelarya gabinetowa“.

Pola 11 stycznia. Parowiec austryackiego Lloyda „Argo“, wjechał ubiegłej nocy na żaglowiec włoski „Erminia“, który wnet poszedł na dno. Załogę „Erminii“ uratowano. Tej samej nocy rozbił się włoski parowiec „Danno“ koło wyspy Brion.

Berno (na Morawie) 11 stycznia. Przy wyborze uzupełniającym posła do Rady państwa z okręgu neutitscheińskiego rozstrzeliły się głosy w pierwszem głosowaniu pomiędzy kandydatem niemiecko-liberalnym drem Fuxem a kandydatem czeskim hr. Stollbergiem. W ściślejszem głosowaniu wyszedł dr. Fux.

Paryż 11 stycznia. Proces panamski rozpoczął się wczoraj przy ogromnym natłoku publiczności.

Jako oskarżeni stają Karol Lesseps, Maryusz Fontane, br. Cottu i inżynier Eiffel.

Ferdynand Lesseps (ojciec) z powodu choroby nie stawił się.

Pierwszego przesłuchano Karola Lessepsa. Zeznaje on, iż odradzał ojcu rozpoczynania przekopu panamskiego, mimo to jednak ojciec podjął się tego dzieła. Za ukonstytuowanie towarzystwa, rozdzielono między jego założycieli jako honoraryum 10 milionów w 900 udziałach. 90 takich udziałów otrzymał także oskarżony i sprzedał z nich następnie 10 po 20.000 franków za sztukę. Już od samego początku czyniono z wielu stron usiłowania, ażeby zachwiać kredytem towarzystwa.

Prezydent robi na to uwagę, że już w roku 1886 własny inżynier towarzystwa obliczał koszta budowy kanału na miliardy, a wysłany przez rząd inżynier Rousseau oświadczył nawet, że przedsięwzięcie to w ogóle nie jest do przeprowadzenia.

Lesseps zaprzecza temu.

Po krótkiej przerwie, oświadcza Lesseps — w odpowiedzi na zadane mu w tym kierunku pytania — że towarzystwo wydawało przy emisyach 8—9 procent na popieranie celów publicystycznych i innych, gdyż przy takich interesach trzeba koniecznie poświęcić pewne sumy na to, aby nie mieć wrogów na giełdzie.

Prezydent utrzymuje, że sumy na ten cel obracane były o wiele wyższe i przytacza oskarżonemu po kolei rozmaite wydatki, w szczególności manipulacye Reinacha.

Lesseps oświadcza przy każdej poszczególnej pozycyi, że była ona niezbędną na koszta reklamy. Jemu i jego ojcu rozchodziło się przedewszystkiem o to, ażeby kanał w ogóle został ukończony. — Na pytanie, co znaczyły bony, opiewające na okaziciela, wzdraga się z początku Lesseps dać odpowiedź, ale wreszcie na natarczywe domaganie się prezydenta oświadcza, że bony te przeznaczone były dla ówczesnego ministra robót publicznych, Baihaut'a.

Gdy bowiem Towarzystwo wniosło do izby projekt emisyi losów premiowych, zażądał minister Baihaut milion franków, a w zamian za to przyrzekł dopomódz do uchwalenia odnośnej ustawy. Kwota ta miliona franków płatna być miała w kilku ratach i a conto dano p. Baihautowi 375.000 fr., jednakże projekt cały upadł, a zatem Towarzystwo nie zapłaciło Baihautowi dalszych rat.

Co się tyczy milionów, wypłaconych br. Reinachowi rzekł Lesseps, że Towarzystwo dawało je Reinachowi z poleceniem użycia ich na zapewnienie powodzenia emisyi walorów panamskich i na wynagrodzenie za swoją fatygę. — Za wypracowanie projektu losów panamskich zapłacono Korneliuszowi Herzowi kwotę 600.000 fr.

W końcu rzekł Lesseps, że rada zawiadowcza Towarzystwa panamskiego wiedziała o tych wszystkich wydatkach.

Na tem przerwano rozprawę i odroczono ją na dziś.

Sigmaringen 11 stycznia. Wczoraj wieczorem odbył się w zamku wielki obiad galowy. Książę Hohenzollern wzniósł toast na cześć cesarza Wilhelma i innych monarchów reprezentowanych na godach weselnych, a król Karol toastował na pomyślność nowożeńców.

Berlin 11 stycznia. Wczoraj rozpoczął swe obrady parlament niemiecki i sejm pruski. W parlamencie oświadczył sekretarz stanu Maltzahn, że podwyższenie podatku od piwa i innych podatków jest koniecznością, aby módz pokryć wydatki projektowanej reformy wojskowej.

Wiedeń 11 stycznia. Cesarz wyjechał dziś na polowanie do Mürzstegu, w Styryi. Powróci w piątek.

Sigmaringen 11 stycznia. Cesarz Wilhelm odjechał dziś do Karlsruhe.

Paryż 11 stycznia. *Journal des Debats* zamieszcza sprawozdanie z interwiewu z Artonem, który oświadczył, iż rzeczywistym odbiorcą rzekomo przez rosyjski dziennik inkasowanych czeków na sumę pół miliona franków był ambasador pewnego z Francyą zaprzyjaźnionego mocarstwa. Kłopotliwe położenie tego ambasadora było w swoim czasie znane wszystkim w Berlinie.

Paryż 11 stycznia. Ukonstytuowanie się nowego gabinetu odroczono, gdyż minister marynarki Burdeau nie chce w nim pozostać. Podobno także minister finansów Tirard nie chce pozostać w gabinecie.

W sferach prawniczych opowiadają, że sędzia śledczy ma zamiar zawiesić śledztwo przeciw tym senatorom i deputowanym, na których sądowe ściganie zezwoliły oba ciała prawodawcze.

Paryż 11 stycznia. Senat i izba deputowanych rozpoczęły wczoraj obrady, które zagaili najstarsi wiekiem członkowie tych ciał prawodawczych. Prezydentem senatu wybrano w drugiem głosowaniu dotychczasowego prezydenta Le Royera. W głosowaniu na prezydenta izby deputowanych nikt nie otrzymał absolutnej większości głosów pomimo, iż tylko jeden p. Floquet kandydował o tę godność. Gdy miano przystąpić do powtórnego głosowania, oświadczył p. Floquet, iż zrzeka się kandydatury. Izba wybrała więc swym prezydentem Kazimierza Periera 254 głosami na 408 głosujących.

Budapeszt 11 stycznia. W klubie liberalnym oświadczył prezes ministrów Weckerle, że nieprawdziwem jest doniesienie dzienników, jakoby ambasador austro-węgierski przy Watykanie, uczynił Kuryi rzymskiej imieniem rządu węgierskiego propozycyę załatwienia kwestyi ślubów cywilnych w ten sposób, iżby urzędnicy cywilni asystowali przy ślubach kościelnych i następnie zapisywali akt zaślubin w księgach państwowych, jak to się dzieje w Hiszpanii, tudzież jakoby prosił Ojca świętego o wywieranie uspakajającego wpływu na katolików w Węgrzech. P. Weckerle oświadczył, że przez zaprowadzenie takich tak zwanych „hiszpańskich małżeństw“ program rządowy bynajmniej nie byłby urzeczywistniony. Członkowie klubu liberalnego przyjęli oklaskami to oświadczenie Weckerlego.

Przyjechali do Lwowa

dnia 11 stycznia 1893.

HOTEL FRANCUSKI. Hr. Lonyay z Węgier. Hrabia W. Orłowski z Lisowic. W. Gnoiński z Krasnego. J. Czaykowski z Pietniczan. F. Nader z Monasterzysk. A. Gajewski z Romanowa. F. Kienast z Budapesztu. A. Waligórski ze Swaryczowa. A. Popper z Wiednia. J. Kellermann z Kańczugi. L. Steinitz z Berlina. Dr. S. Rappaport i E. Just z Wiednia. J. Birnbaum z Krakowa.

HOTEL IMPERIAL. Hr. K. Potworowski z Uścia (nad Prutem). A. Bisset z Peczeniżyna. J. Maniewski z Krużyk. J. Maniewski ze Świtowa. J. Mroczkowski z Markowa. A. Czaykowski ze Stryja. M. Barańska z Łukawicy. B. Horodyński z Kossowa. J. Brykczyński i F. Kraszewski z Krakowa. H. Weiser z Sassowa. S. Schorstein z Jarosławia. J. Kurzweil z Tarnopola. M. Janosz z Czerniowiec.

HOTEL ZORZA. St. hr. Tarnowski ze Śniatynki. Ks. F. Majewski z Maryampola. W. Postruski z Wojniłowa. P. Szymberski z Krakowa. J. hr. Myczkowski z Tustanowiec. J. hr. Baworowski z Kołtowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 11 stycznia godz. 2. min. —

Akcye kred.	317·85	Węg. kolej półn. wschodn.	96·60
Alpiny	53·60	Wiedeńskie losy kom.	163·50
Kredyty węg.	365·75	Akcye tyton.	166·75
Anglobanki	151·25	Gal. obl. indem.	105·10
Uniony	245·20	Elbethale	227·25
Ludwiki	219·25	Länderbanki	229·30
Nordbany	282.50	Renta zł. węg.	114·30
Lombardy	92·—	Bankvereiny	116·50
Losy tureckie	44·30	Renta węg. p.	100·75
Staatsbahny	293·75	Ruble	121·50
Czerniowieckie	250·—		

Usposobienie silne.

Lwów. Z Izby handlowej 11 stycznia 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	218	50	221	50
„ Lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	248	50	251	50
Banku hipotecz. galic. 200 zł. w. a.	339	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	100	90	101	60
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	108	10	108	80
Banku hip. $4^1/_2$% wa. lok. w 50 lat.	98	35	—	—
Banku krajowego $4^1/_2$% wa.	99	50	100	20
Tow. kred. galic. 4% nieokr.	97	—	97	70
„ „ „ 4% „ $41^1/_2$	95	50	—	—
„ „ „ 4% „ 52 l.	100	50	101	20
„ „ „ 4 „ 58	95	—	—	—
3. Listy dłużne za 100 zł.				
Z. G. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	—	—	—	—
„ „ „ (daw. 6%) $2^1/_2$% „	50	—	—	—
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	80	105	50
Galic. fund. propinacyjnego 4%	96	50	97	20
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	101	80	102	50
Kom. banku kraj. 5 prc. w. a. I em.	101	25	101	95
Pożyczka kraj. z r. 1873 z pr. w. a.	108	50	—	—
„ „ „ 1883 $4^1/_2$%	93	50	—	—
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	—	25	50
„ „ Stanisławowa	36	—	—	—
6. Monety.				
Dukat holenderski	5.67		5.77	
Napoleondor	9.57		9.67	
Półimperyał rosyjski	9.70		—.—	
Rubel rosyjski srebrny	1.22—		1.27—	
„ „ papierowy	1.20—		1·22—	
100 marek niemieckich	59.—		59·50	

122,

MATKA I MĘCZENNICA

POWIEŚĆ

przez

Pawła d'Aigremont.

Tłumaczona przez Leopolda Czaplińskiego.

(Ciąg dalszy).

— W takim razie dla czego powrót twej bratowej niepokoi cię? — zapytał Filip, ale tak pogardliwym tonem, że Klara utraciła ochotę do dalszych zwierzeń.

Zresztą przeszłość nie wiele ją obchodziła, dręczyła się czem innem.

— Brat mój zmarł nie sporządziwszy testamentu. ale zostawił co innego.

— Cóż takiego?

— Córkę.

— Która zmarła.

— Tak — odrzekła Klara z naciskiem — ale zmarła już po śmierci ojca, czyli, że odziedziczyła po nim majątek, a tym sposobem matka jej ma prawo do czwartej części jego.

Błyskawica gniewu zamigotała w oczach Filipa.

— Żartujesz chyba! — zawołał.

— Wcale nie. Notaryusz mój, wprowadzając mię w posiadanie pozostałego po moim bracie majątku, uprzedził mię, że prędzej lub później pretensya ta objawiona zostanie.

— I my będziemy musieli oddać tej kobiecie czwartą część majątku?

— Jeżeli tylko upomni się, to będziemy musieli.

— Więc księżna wiedziałaś o tem i nie uprzedziłaś mię?

— Cóżbyś na to poradził?

— W takim razie nie byłbym się z tobą ożenił. Nie dałbym się oszukać!

— Przepraszam! — przerwała Klara zimno — mówmy na podstawie faktów. Ożeniłeś się zemną z warunkiem, że wniosę ci trzy miliony franków. Ja tymczasem wniosłam dwanaście. Odtrąciwszy nawet kwestyonowaną przez panią de Clavières część czwartą, pozostanie dziewięć, t. j. trzy razy tyle ile pragnąłeś. W czem więc oszukałam cię?

I gdy Filip milczał, czując, że nie miał racyi, Klara, pragnąc wyprowadzić go z zakłopotania dodała:

— Zamiast irytować się i zniechęcać pierwszą przykrością, pomyśl lepiej wraz zemną nad sposobami uniknięcia następstw. A bądź przekonanym, że nie tyle dla mego, jak raczej dla twego spokoju gotowa jestem uczynić wszystko.

Serdeczność ta, której nic nie mogło osłabić, nie rozbroiła jednak księcia. Klara była dla niego wstrętną. Była brzydka, niemiła i do tego chuda jak szczapa. Jej głos nawet, pomimo, iż usiłowała uczynić go przyjemnym, posiadał dźwięk ostry i drażnił nerwy Filipa.

— Proszę cię — odrzekł wzruszając ramionami — nic mię nie obchodzą cyfry. Rób co chcesz, bylem tylko miał dom urządzony na właściwej stopie i moje sto pięćdziesiąt tysięcy franków renty. Zresztą późno już, upadam ze znużenia, dobrej nocy.

— Filipie — zawoła — nie bądź okrutnym. Przecież nasz wspólny interes...

— Dość tego — przerwał jej. — Wiesz, że tego rodzaju rozmowy irytują mnie.

Odszedł i zbliżył się już do drzwi, lecz obejrzał się jeszcze. Klara, ukrywszy twarz w chustkę, płakała. Łzy nieszczęśliwej nie sprawiły na nim żadnego wrażenia.

— Ale — zawołał — pisał mi Morel, że pałacowa wieża w Roquebrune wymaga gruntownej reparacyi. Potrzeba mu będzie posłać pieniędzy.

— Ile?

— Z pięćdziesiąt tysięcy.

Klara aż podskoczyła.

— Nie mam tyle — odrzekła.

— I ja także. Ale ty znajdziesz łatwo. Tylko nie zapomnij.

Gdy Filip potrzebował pieniędzy, powoływał się zawsze na Morela. I Klara albo wysyłała mu pieniądze, które on wracał swemu panu, albo wręczała je mężowi, który je chował do kieszeni.

Po wyjściu Filipa, księżna powstała i chwiejąc się jak pijana, odeszła do pokoju sypialnego. Tam, padła na fotel, oparła łokcie na kolanach, ujęła głowę w dłonie i powtarzała w rozpaczy:

— Jak on postępuje ze mną, jak postępuje!... Boże mój! jakże jestem ukaraną!...

Po kilku chwilach podniosła czoło, łzy jej oschły, jakiś ogień połyskiwał w oczach.

— Można byłoby przypuszczać, że nienawidzi mnie — szeptała — ale czyż to podobna po tem wszystkiem com dla niego uczyniła? Gdyby mnie zdradzał!...

Uczyniła gest groźny i spojrzała przed siebie dziko. Długi czas chodziła po pokoju szepcąc słowa urywane.

— Jestem waryatką — rzekła, uspokoiwszy się nieco. — Filip jest i będzie zawsze egoistą w najwyższym stopniu, pocóż więc mam mu się z tem zwierzać? Żeby choć tylko ta przeklęta Magdalena nie przybyła do Francyi z zamiarem zemsty.

Rozebrała się i udała na spoczynek, ale zasnąć nie mogła. Zdawało się jej, że widzi ciągle przed sobą przejmujący ją przerażeniem groźny wzrok Magdaleny.

Z swej strony i Filip nie spał, tylko z innego powodu. Uroczy obraz Nhiski obecny był ciągle w jego wyobraźni i czynił go niezdolnym do myślenia o czem innem. Całą noc przepędził na układaniu najrozmaitszych planów zbliżenia się do niej, rozmówienia się i zdobycia serca.

O siódmej rano wstał i udał się do Lasku bulońskiego, ale Nhiski nie spotkał. Wtedy wszystko wydawało mu się nudnem i obojętnem. Zjadł śniadanie i o drugiej pojechał do cyrku, w oczekiwaniu spotkania Nhiski, mającej przybyć na próbę.

Indyanka wkrótce nadjechała. W Filipie na jej widok silniej uderzyło serce. Zakochany był jak chłopiec ośmnastoletni.

Nhiska, spostrzegłszy księcia, uśmiechnęła się.

Filip podstąpił ku niej i ośmielił się przemówić.

— Pani — rzekł — pragnąłbym bardzo pomówić z panią.

Spojrzała nań z doskonale udanem zdziwieniem, gdy współcześnie oczy jej zdawały się mówić wyraźnie:

— Ale kto pan jesteś? Nie znam pana.

— Nie mam nikogo ktoby mię przedstawił — odrzekł mąż Klary, zrozumiawszy wyraz jej twarzy i wzroku — niech pani pozwoli, że sam się przedstawię.

— Słucham pana — rzekła Nhiska z nieporównaną godnością.

Filip, stojący przed nią z odkrytą głową, skłonił się i głosem o ile mógł najprzyjemniejszym rzekł:

— Książę de Roquebrune. Przyjaciele rekomendujący mnie dodaliby: przedstawiciel jednego z najstarszych rodów francuskich; ja zaś zadawalniam się tylko dodatkiem: jeden z najgorętszych wielbicieli pani...

Uśmiechnęła się, nie obraziwszy się wcale.

— Rzecz dziwna — jak we Francyi, a zwłaszcza w Paryżu, ludzie mówią lekko nawet o rzeczach najpoważniejszych.

— O jakich?

— Utrzymujesz pan, że jesteś jednym z najgorętszych mych wielbicieli, a przecież nie zna mnie pan wcale.

— Widziałem panią po raz pierwszy wczoraj wieczorem, to prawda; ale sprawione przez panią na mnie wrażenie było tak piorunujące, tak głębokie, że od tej chwili podobny jestem do waryata, który utracił świadomość wszystkiego, co nie odnosi się do pani...

— Ja zaś — odrzekła Nhiska — pochodzę z kraju, różniącego się bardzo od Francyi. U nas słowa, które pan wymówiłeś, wypowiadają się bardzo rzadko, ale za to głęboko są wyryte w sercach. Miłość jest u nas tak świętą, że pragnąc ją posiąść, najczęściej z niej się umiera...

— Ależ to los godny zazdrości, umrzeć dla swego bóstwa!..

— Żartuje pan... W Indyach rzeczywiście ludzie rzucają się pod koła wozu naszych bogiń, nie domagając się od nich nawet spojrzenia.

— Niech pani rozkaże mi to uczynić, a spełnię bez wahania...

— Nie wierzę panu. Zresztą uprzedzono mnie o tem. We Francyi robią wiele hałasu, wiele pięknych słów wypowiadają, wiele obietnic czynią, ale wszystko to wiatr unosi... Pan jesteś pierwszym, mości książę, z którym rozmawiam tak długo.

— I to napełnia mnie szczęściem! Niech pani wierzy mi, że słowa, które wypowiedziałem nie są na wiatr rzuconemi. Niech pani mnie wysłucha. Jeżeli mnie pani wyróżni, mniej nawet: jeżeli pani pozwoli uwielbiać ją w milczeniu, to przysięgam na wszystko, co tylko dla człowieka jest najdroższego i najświętszego, że gotów będę oddać nawet życie swoje, skoro pani tego zażąda!

Nhiska poruszyła ustami pogardliwie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski. — Papier braci Fijałkowskich w Bielej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.